

Dwadzieścia siedem lat minęło od chwili kiedy hitlerowski faszyzm przestał istnieć, zdławiony ostatecznie we własnym gnieździe przez zwycięskie siły koalicji antyhitlerowskiej. Ludzkość odetchnęła - nastał pokój. Powoli zablizniały się rany naródów i obsychały łązy, ale pozostały wspomnienia.

Długo pozostaną w naszej pamięci lata okupacji, lata grozy i zniszczeń jakie niosły ze sobą hitlerowskie hordy. My Polacy, naród skazywany przez Hitlera na zagładę, bezbronni, katowani, często bez sądów rozstrzeliwani, uśmierceni tysiącami w komorach gazowych, potrafilismy jednak stawić czoło wrogowi, zadawać mu dotkliwe straty na tyłach, nękać nieustannie napadami, niszczyć transporty, sabotować produkcję wojenną.

Działania oddziałów Obwodu Brzeżany nade wstawiły się może wielkimi czynami bojowymi, niemniej jednak walczyły. Chciałbym zachować w pamięci te małe bohaterstwa ludzi skazanych na zagładę, walczących z okupantem mającym potworną przewagę militarną, narażając swoje życie i życie swoich najbliższych w imię ogólnego dobra.

Chciałbym też przenieść na papier wspomnienia z tych strasznych lat i po to, aby nasze młodsze pokolenia i wszystkie przychodzące po nich wiedziały co niesie ludzkości faszyzm, jakie ofiary ponieśli i jak walczyli ich dziadowie i ojcowie o wolność naszej Ojczyzny i o to, aby oni mogli żyć i rozwijać się swobodnie.

Na wstępie pragnę zapoznać naszych czytelników z charakterystyką i sytuacją powiatu Brzeżany.

P o w i a t B r z e ż a n y jest położony w województwie tarnopolskim w odległości około 109 km na południowy wschód od miasta Lwowa.

Zachodnia część powiatu jest pokryta lasami, a teren mocno pofalowany. Wschodnia część powiatu jest pokryta lasami tylko do rzeki Cerałówka, od której zaczyna się Podole, teren bezleśny i lekko tylko pofalowany. Od zachodu powiat sąsiaduje z podobnej wielkości powiatem Rohatyn, od południa z powiatem Podhajce, od wschodu z powiatem Tarnopol, będącym również siedzibą władz wojewódzkich, od półn.-zachodu z powiatem ~~Przemyski~~ Przemyski, od półn.wschodu z powiatem Zborów, a od północy z powiatem Złoczów.

Powiat Brzeżany, w-g danych z 1939r., zamieszkiwało około 111 tysięcy ludzi, a w tym: 40.000 Polaków, 60.000 Ukraińców i 11.000 Żydów. W obrębie powiatu leżały 3 miasta: Brzeżany /14.000 mieszkańców/, Kozowa /6.000 mieszkańców/ i Narajów /1.500 mieszkańców/ oraz 75 gromad wiejskich. Przed wojną w Brzeżanach stacjonował 51 pp. Strzelców Kresowych, było Państwowe Gimnazjum i Liceum typu przyrodniczego i humanistycznego i utrakwistycznymi klasami dla młodzieży ukraińskiej, Seminarium Nauczycielskie żeńskie, Sąd Okręgowy i Grodzki, Komunalna Kasa Oszczędności, Urząd Pocztowy itp. Nie było jednak przemysłu, tylko drobne zakłady i warsztaty rzemieślnicze. Uroku dodawał miastu staw i piękne położenie nad rzeką Złotą Lipą, między wzgórzami: Sterożysko, Zwierzyniec, Babia Góra z szybowiskiem, i najwyższym z nich i mocno zalesionym o nazwie Ruryska /410m n.p.m./.

Sztucznie spiętrzony za pomocą grobli staw, którego powierzchnia ustora wody znajduje się na wysokości dachów dolnej części miasta, stanowił poważny ośrodek sportów wodnych i był wykorzystywany do hodowli ryb. Wpływająca doń od północy rzeka Złota Lipa i zasilająca go w wodę, wpływała zeń dwoma korytami przez specjalnie w tym celu zbudowane śluzy, aby poniżej miasta znowu połączyć się i płynąć dalej w dół już tylko jednym korytem. W ten sposób część miasta leżała jakby na wyspie, na której zachował się, częściowo zrujnowany, ale ongiś potężny zamek obłożony książąt Sieniawskich. O jego mury rozbiły się ataki hord tatarskich i jak głosi legenda, a właściwie jego historia, nigdy nie był zdobyty. Wszystko to stwarzało bardzo piękny i malowniczy krajobraz, wspierało warunki dla rozwoju sportu pływackiego, wioślarskiego, żeglarskiego i łyżwiarskiego oraz narciarskiego, a więc ogólnego rozwoju młodzieży.

Na błękitne niebo napływają czarne chmury

W okresie od 1933 do 1939 roku Ukraińcy silnie rozbudowują różne organizacje nacjonalistyczne, a wśród nich OUN, której przywódcą Jewhen Konowalec, a rekrutującej się z oficerów rozbitych oddziałów ukraińskiej armii galicyjskiej /UOW/. Działalność sekcji bojowych UOW tj. Ukraińskiej Organizacji Wojskowej w Polsce uwidoczniła się już duże wcześniej

le w naszych stronach po dojściu Hitlera do władzy. W tym też okresie owiat brzeżański stał się terenem licznych ukraińskich napadów terrorystycznych, podpaleń stogów ze zbożem, a nawet gospodarstw polskich w wsiach. Obok rabunków i ciężkich pobić mężczyzn, a nawet kobiet i dzieci, coraz częściej zdarzały się mordy, początkowo pojedynczych osób, później masowe.

Do ich pierwszych ofiar należał rolnik Czuba, ze wsi Taurów, zamordowany w 1937 roku, a w mieście Brzeżany strażnik więzienny Groch. W 1939r. został zabity w pobliżu wsi, będący w patrolu, policjant z posterunku w udyłowie.

W drugiej połowie września 1939r., gdy Niemcy podeszli pod Lwów, bojówki ukraińskie wystąpiły zbrojnie, atakując pojedynczych żołnierzy i mniejsze grupy wycofujących się wojsk, mordując rozbrojonych w sposób ieraz bardzo okrutny. Największych rzezi naszych wojsk dokonali na szole Zborów-Dryszczów-Brzeżany, Narajów-Brzeżany, Leśniki-Podwysokie i stutory-Podhajce. Przygotowanie zasadzek ułatwiały też Ukraińcom lasy, przez które często przechodziły drogi edwretu na Rumunię. W ten sposób raińcy zdobyli duże ilości broni, wzrosli w siłę i coraz jawniej zaczęli napadać i mordować bezbronną ludność polską, a zwłaszcza mieszkańców mniejszych wiosek. Do głośniejszych mordów z tego okresu należą: rzebiecie widłami majora Wojsk Polskich i jego córki we wsi Leśniki oraz rzech kobiet z rodziny Boryszko i rolnika o nazwisku Trudzik w pobliżu ej wsi. W Trościańcu wymordowano 16 gospodarzy i miejscowego nauczyciela, w Kotowie ks. Gacha, w Jakubowcach wymordowano 28 gospodarzy i spalono wszystkie polskie gospodarstwa, w Dryszczowie sołtysa nazwiskiem ajter, a we wsi Ruryska, tuż pod miastem, też sołtysa Hudzika.

Trudno tu wymieniać wszystkie mordy i napady z tego okresu i nie sposób ustalić dokładną liczbę ofiar rozbewstwienia się ukraińskich nacjonalistów. Uspokoilo się to trochę dopiero po wkroczeniu wojsk radzieckich, ale Ukraińcy dozbrowieni polską bronią i rozwydrzeni udanymi napadami, jawnie już okazywali Polakom swą wrogość i czekali na nową okazję do mordowania.

Nadchodzą lata okupacji

Wczesną wiosną 1941 roku nic jeszcze nie wskazywało że Niemcy uderzą na Związek Radziecki, a wśród Ukraińców już wrzało. Znowu zaczęli mordować Polaków, ale przede wszystkim Ukraińców którzy współpracowali z Władzą Radziecką. We wsi Szybalin zamordowali kilku miejscowych Ukraińców, ucinali im głowy, powbijali na żerdzie, które przymocowali do płotów zaopatrzyli w różne hasła typu: "Hołowa selrady, trzeba było ją uciąć!" Podobnie we wsi Raj, też w pobliżu miasta, zamordowali dwóch, a we wsi Leśniki doszło nawet do walki z oddziałem NKWD, w czasie której zginął przywódca tego oddziału, pułkownik NKWD, o nieznanym mi nazwisku.

Gdy w 1941 roku Niemcy hitlerowskie napadły na Związek Radziecki, bojówki OUN /Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów/ organizowały napady na wycofujące się wojska radzieckie i po rozbrojeniu oddawały jeńców w ręce Niemców. Nie przypuszczam, aby te operacje były bezkrwawe.

W trzy dni po wkroczeniu wojsk niemieckich do Brzeżan, Ukraińcy urządzili w pierwszą niedzielę wielką manifestację związaną z pogrzebem poległych Ukraińców. Zjechało się do Brzeżan kilkanaście tysięcy młodzieży ukraińskiej dla przywitania wojsk niemieckich i udziału w pogrzebie.

Po manifestacyjnym pogrzebie, w czasie którego Ukraińcy wygłaszali, od adresem niemieckiej armii, dziękczynne przemówienia i rozplýwali się hołdach dla Niemców - powiało grozą. Niemcy ogłosili tą niedzielę - "dniem Swobody", dniem w którym Ukraińcy mogli swobodnie i bezkarnie

mordować Polaków i Żydów.

Nie trzeba ich było do tego zachęcać i wkrótce też rozpoczęli "harcę", a przodowała w tym rozbestwiona ukraińska młodzież przy współudziale zapijaczonych Niemców. Rozpoczęło się już mordowanie spędzanych z różnych stron miasta, Żydów, gdy nieoczekiwanie Niemcy cofnęli to dzikie zezwolenie na bezkarne mordowanie Polaków. Powetowali więc sobie "harcownicy" na Żydach. Mordowano ich w mieszkaniach, na ulicach na podwórkach przydomowych i wszędzie gdzie ich znaleźiono, a największej koło zamku Sieniawskich w parku nad rzeką.

Mieszkałem ok. 250m od katolickiego cmentarza i widziałem co się tam działo. Przed południem jeszcze, jakiś Niemiec z Wehrmachtu i duża grupa Ukraińców, spędziła 16 Żydów i kazała im kopać głęboki dół. Gdy wykopali, poukładano ich w nim twarzami w dół i żywcem zasypano. Niektórzy próbowali się ratować i podnosili głowy. Spadały wówczas na nich ciosy łopatami, również nie zawsze śmiertelne. Takich wypadków zakopywania żywcem było więcej, a według danych z Judenratu, w tym tylko dniu wymordowano około 500 Żydów.

Gdy na następny dzień Żydzi z Judenratu wyprosilili w Ortskommandaturze zezwolenie na wybranie trupów z ziemi i pochowanie ich zgodnie z rytuałem, znowu przeżyłem straszne widowisko. Trupy wożono na drabiniastych wozach ciągnionych przez ludzi, poukładane tak jak się kiedyś woziło drzewo z lasu, i trwało to strasznie długo.

Po tej "krwawej niedzieli" uspokoiło się nieco i przez prawie dwa i pół miesiąca nie było w stosunku do Żydów żadnych masowych represji poza kontrybucjami rzeczowymi i pieniężnymi. Okazało się wnet, że spokój ten był tylko pozorny. Z niemiecką złośliwością i przebiegłością szykowano Żydom święta.

Na "Sądny Dzień" zarządzili Niemcy zbiórkę wszystkich mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat. Nie przeczuwając nic złego, Żydzi zgłosili się odświętnie ubrani. Niemcy wybrali, jak zapewniali na jakieś roboty, samych zamożniejszych kupców i inteligencję. (Wybranych umieścili w więzieniu. Po tygodniu wywieźli wszystkich poza wioskę Raj, gdzie rozebrałych do naga rozstrzelali w kamieniołomach. Początkowo nikt nie chciał wierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć i rodziny pomordowanych przez dłuższy czas oczekiwały na wiadomości od nich.

A jak sprawy ukraińskie?

Długo liczyli Ukraińcy na to, że Niemcy stworzą im, tak stanowczo obiecywaną, "Samostijną Ukrainę". Tymczasem Niemcy dołączyli województwo lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie do tzw. Generalnego Gubernatorstwa i chociaż Ukraińcy już się domyślali, że zostali oszukani i nie są już Niemcom potrzebni; ciągle jeszcze współpracowali z nimi na różnych polach, a zwłaszcza na odcinku niszczenia Polaków i Żydów, co bardzo Niemcom odpowiadało. Chociaż w 1940r. nastąpił między Ukraińcami rozłam na zwalczające się grupy: S. Bandery /"rewolucjoniści"/ i Andrija Melnyka /"solidaryści"/, co zmniejszyło nieco groźbę zupełnej eksterminacji Polaków na terenie Wołynia i trzech w/w województw, ale nie zlikwidowało, nadal stosunki polsko-ukraińskie cechowała narastająca wrogość. Nie orientowali się w tych sprawach ani Polacy, ani Ukraińcy.

Poobejmowali też Ukraińcy posady w niemieckiej administracji i zaczęli usuwać Polaków z tych ziem, wyznaczając między innymi na "przymusowe roboty" do Niemiec. Jako pierwszych wyznaczali byłych wojskowych. Wtedy też i ja, jako zagrożony, zostałem zmuszony do opuszczenia mieszkania na dwa miesiące. Zorganizowali też policję mundurową, którą całkowicie podporządkowali UPA, czego dowodem był fakt, że gdy zastępca komendanta odmówił posłuszeństwa i nie chciał się podporządkować UPA, został przez swego podwładnego zastrzelony - na ulicy w biały dzień. Może nasze polskie losy byłyby jeszcze gorsze, gdyby nie niedokończona sprawa żydowska, która bardziej zajmowała Niemców, a nawet Ukraińców, a ciągle ich było jeszcze wielu.

W grudniu 1941r. Niemcy zażądali od Judenratu wyznaczenia 1500 osób na przesiedlenie do Podhajec. Judenrat wyznaczył samych obcych i biednych. Ci, przeczuwając co ich czeka, pochowali się w różnych zakamarkach. Wtedy także policja żydowska wykazała całą swą podłość. Tropiła ich

całą noc i gdy któryś miał się czym wykupić, zastępowała go innym. Porywanych Żydów zakładano na oczekujące już furmanki, wywieziono za wieś Litiatyn i tam na skraju lasu rozstrzelano całymi rodzinami.

Od tego czasu egzekucje na Żydach odbywały się już często. Za jakiegokolwiek przestępstwo, naturalnie w pojęciu Niemców, np. za brak opasek z gwiazdą na ramieniu, nielegalny handel itp., Żydzi byli zamykani w więzieniu, a gdy zebrali się już grupa powyżej 100 osób, byli wyprawiani na cmentarz żydowski /kirkut/ i tam rozstrzeliwani.

A jak wyglądały takie egzekucje? Zwykle przeznaczoną na rozstrzelanie grupę prowadziło kilku ukraińskich policjantów, a z tyłu szedł sobie jeden lub dwóch gestapowców. Żydzi szli w marszowej kolumnie, z rękami splecionymi nad głową. Takie trzymanie rąk zarządził Niemcy, gdy Żydzi, orientując się dokąd i po co idą, wyrzucali po drodze kosztowności i posiadane pieniądze, lub darli, aby nic nie dostało się ich oprawcom. Gdy któryś z Żydów opuszczał ręce lub pozostawał w tyle, przepłacał to życiem i dalej był niesiony przez innych.

Po dojściu na kirkut wszyscy rozbierali się do naga, ustawiali w rzędzie przed dołem i pojedynczo podchodzili do dołu, gdzie stojący z flachą wódki gestapowiec pozbawiał ich życia strzałem w tył głowy. W czasie gdy jeden gestapowiec strzelał, drugi, lub ukraiński policjant, ładował puste magazynki. Egzekucje te prowadziło trzech gestapowców: Willi Hermann, Hans Henik i Hubert von Kohlemann /nie gwarantuję prawdziwości pisowni/ oraz kilku żandarmów. Wiem o tym stąd, że te egzekucje odbywały się na oczach dużej części mieszkańców miasta, na stok wzgórza, na którym znajdował się kirkut, widocznym z dzielnicy Miasteczko i Gachy i z okolic mojego miejsca zamieszkania.

Tych kilku ludzi wystrzelało prawie wszystkich Żydów mieszkających w tym czasie w Brzeżanach i powiatach Podhajce i Rohatyn. Pewna ilość Żydów została przetransportowana do obozu zagłady w Bełżcu.

Organizacja oddziałów bojowych Armii Krajowej

W 1942r. w miesiącu maju zostałem powołany przez kpt. Bolesława Tomaszewskiego na stanowisko oficera organizacyjnego AK Obwodu Brzeżany. Obwód nosił początkowo kryptonim "Dąbrowski", następnie "Chodkiewicz", a od 1943r. do 1.VIII.1944r. kryptonim "Kobus".

Pierwszym komendantem Obwodu był kpt. B. Tomaszewski, który zapoczątkował organizację 1-szej kompanii w Brzeżanach, 2 komp. w Hucisku, 3 komp. w Kozowie i samodzielnych plutonów w Narajowie i Litiatynie. Ustalił też dla wszystkich miejscowości i oddziałów - kryptonimy.

Powiat został podzielony na 7 rejonów. W zależności od ilości ludności polskiej w danym rejonie, zostały zorganizowane 4 kompanie 3-y i 4-roplutonowe oraz 1 pluton specjalny.

Organizacja kompanii bojowej: d-ca komp., z-ca d-cy komp., szef komp., podoficer gospodarczy, gońcy do poszczególnych plutonów, patrol sanitarny i 3-ch do 4-ch d-ców plutonów.

Organizacja plutonu bojowego: d-ca plutonu, z-ca d-cy plutonu, 1 goniec, 3-ch do 4-ch d-ców drużyn i sekcji rkm.

Organizacja drużyny bojowej: d-ca drużyny, z-ca d-cy drużyny i 3 sekcje po 5 ludzi.

Pracę organizacyjną rozpocząłem od miejscowej kompanii, której dowódcą był por.rez. Stanisław Domaradzki, a od sierpnia 1942r. st.sierż. Franciszek Świdrak.

Organizacja 1 kompanii kryptonim "Staw" przedstawiała się następująco:

- I pluton - d-ca plutonu sierż. Fila Franciszek. Obejmował on przedmieście Miasteczko tj. ulice: Słowackiego, Rzeźniczą i Podokopisko.
- II pluton - d-ca plutonu sierż. podchor. Hertman. Obejmował on przedmieście Siółko: ul. Kościuszki, Balardę, Gachy i ulice przyległe do Rynku.
- III pluton - d-ca plutonu sierż. Jan Mulski. Obejmował on przedmieście Adamówka: ul. Mickiewicza, Kr. Jadwigi, Wałową, Izabelówkę, Zygmuntowską, Konfederacką i Szkolną.

IV pluton - d-ca plutonu Władysław Michalak. Obejmował on przedmieście Chatki oraz wioski: Szybalin, Żuków, Hinowice, Później nastąpiły pewne zmiany.

Pluton specjalny. Niezależnie od zorganizowania miejscowej kompanii, został na terenie miasta powołany pluton specjalny. D-wódcą tego plutonu został inż. Kamiński. Składał się on z żołnierzy różnych specjalności, a mianowicie: drużyny łączności, drużyny kierowców i czołgistów oraz z drużyny artyleryjskiej.

Organizacja 2 kompanii w miejscowości Hucisko - kryptonim "Góry".

Dowódcą kompanii ppor. Władysław Motylewicz ps. "Topola".

Z-ca d-cy komp. ppor. Mieczysław Preisler ps. "Lis".

Kompania ta została zorganizowana w trzech plutonach:

I pluton - d-ca plut. sierż. Józef Szczepański. Obejmował on miejscowości: Hucisko, Dąbrowa i Mieczyszczów.

II pluton - d-ca plutonu plut. Bronisław Turski. Obejmował on miejscowości: Demnia, Kurzany, Pawłów.

III pluton - d-ca plutonu plut. Adolf Sydor. Obejmował on miejscowości: Podwysokie i Łopuszna.

Organizacja 3 kompanii w miejscowości Kozowa - kryptonim "Pole".

Dowódcą kompanii sierż. Konstanty Duda, a od 1943r. zawiadowca odcinka drogowego Gawlikowski.

Kompania ta została zorganizowana w 4-ch plutonach:

I pluton - d-ca plut. kpr. Grubiak. Obejmował on miejscowości: Kozowa i Uwsie.

II pluton - d-ca plut. kpr. Sitko. Obejmował on miejscowości: Wiktorówka i Teofipólka.

III pluton - d-ca plut. Władysław Zieliński. Obejmował on miejscowości: Helenków, Kozówka i Dubszcze.

IV pluton - d-ca plut. nauczyciel z Jakubowic. Obejmował on miejscowości: Jakubowice, Tryhubowa i Wymysłówka.

Organizacja 4 kompanii w miejscowości Taurów - kryptonim "Rola".

Dowódcą kompanii sierż. "Ryś".

Kompania ta została zorganizowana w 4 plutonach. Plutony I, II i III powołano w miejscowościach Taurów i Płotycza, a pluton IV we wsi Budyłów - d-ca plutonu kpr. Józef Wojtuś.

Pluton samodzielny w miejscowości Buszcze - kryptonim "Brzoza".

Dowódcą plutonu sierż. Zygmunt Krysiak.

Pluton został zorganizowany w 4 drużynach. Obejmował on miejscowości: Buszcze, wieś Szumłany, Dryszczów i Wolica.

Pluton samodzielny w miejscowości Narajów - kryptonim "Źródło".

Dowódcą plutonu kpr. Antoni Mach.

Pluton został zorganizowany w 4 drużynach. Obejmował on miejscowości: Narajów, Zapust Lwowski, Huta i Rohaczyn M.

Pluton samodzielny w miejscowości Baranówka - kryptonim "Baran".

Dowódcą plutonu sierż. Józef Kurtarz, ps. "Dąb".

Pluton został zorganizowany w 3 drużynach. Obejmował on miejscowości: Baranówka i Kuropatniki.

Pluton samodzielny w miejscowości Litiatyn - kryptonim "Lilia".

Dowódcą plutonu Więcek, a od 1943r. Majchrzak.

Pluton składał się z 4 drużyn i obejmował miejscowości: Krzywe, Litiatyn i Potutory.

Tak przedstawiała się w pierwszym okresie organizacja oddziałów bojowych AK Obwodu Brzeżany. W organizowaniu tych oddziałów nie napotykałem na większe trudności, gdyż miałem dobrą znajomość ludzi i terenu. Przed wojną prowadziłem prace szkoleniowe i zajęcia terenowe z

oddziałami Przysposobienia Wojskowego organizowanymi przy Państwowym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym, przy Gimnazjum Handlowym i przy Szkole Przemysłu Drzewnego w Brzeżanach, na stanowisku instruktora. Miałem też dużo wychowanków ze szkoły podoficerskiej, gdzie też byłem instruktorem, w wyniku czego miałem dużo znajomych w powiecie, u których cieszyłem się pełnym zaufaniem. Aby zorganizować w/w oddziały, musiałem często odbywać wędrowki od wioski do wioski i aby nie wzbudzać podejrzeń przedstawiałem się jako agent firmy ubezpieczeniowej ze Lwowa. Niezależnie od tego miałem zawsze ze sobą kilka kawałków mydła, skóry itp. na tzw. "handel" z czym wstępowałem do ukraińskich domów również, aby zmylić cel mego pobytu we wsi. Było to konieczne ze względu na współpracę ukraińskich nacjonalistów z Niemcami. Każdy nierozważny krok z naszej strony byłby natychmiast zgłoszony Niemcom lub ukraińskiej milicji, a czym to by się skończyło, nie trudno sobie wyobrazić.

Do pracy konspiracyjnej wkrótce tak się wciągnąłem, że coraz mniej zwracałem uwagę na grożące mi niebezpieczeństwo ze wszystkich stron. Nieraz też miałem "duszę na ramieniu", a jak łatwo było o fałszywy krok, niech posłużą następujące przykłady:

Przykład pierwszy: W dniu 9.XI.1942r. wyjechałem do wsi Taurów położonej 38 km od Brzeżan. W dniach 9 i 10 załatwiłem tam sprawy organizacyjne i w dniu 11-tego wyszedłem na umówione spotkanie z d-cą 3 kompanii i d-cą plutonu na stacji Kozowa o godz. 16⁰⁰. Ponieważ sypał gęsty śnieg, a całą drogę długości 22 km przeszedłem pieszo, byłem przemoczony i bardzo zmęczony. Umówieni ze mną d-cy pojawili się dopiero o godz. 19⁰⁰ co spowodowało, że odprawę zakończyliśmy ok. godz. 22³⁰. Nie miałem już czym dostać się do Brzeżan, ani gdzie przenoć. W tej sytuacji znajomi kolejarze wsadzili mnie na jadącą przypadkowo do Potutor lokomotywę, a prowadzący ją maszynista zatrzymał parowóz przy szosie Litiatyn-Brzeżany, skąd miałem do miasta jeszcze około 9 km. Było to miejsce położone możliwie najbliżej Brzeżan, ale całą prawie drogę musiałem iść szosą, na której łatwo było o spotkanie z Niemcami, a było to przecież po tzw. "godzinie policyjnej". Gdy wyszedłem już na drogę i uszedłem ok. 2 km, minął mnie niemiecki samochód osobowy. Ponieważ zauważyłem go zbyt późno i nie miałem żadnej możliwości ukrycia się, pozostałem zrezygnowany na szosie. Byłem niemal pewny że to gestapo i nie wróżyłem sobie nic dobrego, ale nie próbowałem uciekać gdy samochód zatrzymał się i zaczął wracać, cofając się w moim kierunku. Gdy samochód podjeżdżał i gdy napięte do granic wytrzymałości nerwy mogły zawieść i mogłem zrobić jakieś głupstwo, usłyszałem znajomy głos: "Panie Cisek, siadaj Pan". Na szczęście nie było w wozie żadnego Niemca, tylko znajomy kierowca, kierowca Kreishauptmanna, członek konspiracji Karol Białoskórski, który szybko dowiózł mnie do miasta, wysadził w ciemnej uliczce obok domu znajomych, gdzie przenoćowałem.

Przy okazji Białoskórski poradził mi, abym nie szedł do domu, gdyż w minionym dniu Niemcy aresztowali 25 Polaków i narazie nikt nie znał przyczyny.

Przykład drugi: Sprawa w/w aresztowania wnet się wyjaśniła. Okazało się, że Ukraińcy donieśli Niemcom, że Polacy przygotowują na dzień 11 listopada jakąś akcję sabotażową. Niemcy aresztowali więc 25 Polaków spośród inteligencji, jako zakładników. O aresztowanych mieliśmy dokładne informacje, gdyż w więzieniu mieliśmy ludzi z konspiracji - naczelnika więzienia i 4 strażników. Naczelnik więzienia przygotował plan ucieczki zakładników i własnej, gdyby się na coś złego zanosilo.

Na szczęście i tym razem nikogo nie zawiiodły nerwy i wszystko skończyło się dobrze.

Przykład trzeci: Tym razem przygoda jest związana z moją nominacją na komendanta Obwodu AK Brzeżany. Przy końcu listopada wezwał mnie kpt. Tomaszewski i polecił przynieść od prof. Jaremicza /z-cy kom. Obwodu/ wszystkie dokumenty dotyczące konspiracji. Odebrałem więc dokumenty i niosę, a było to ok. godz. 22⁰⁰, a więc zbliżającej się godz. policyjnej. Na rogu ul. Konfederackiej i Wałowej zatrzymał mnie z tym niemiecki patrol. Zatrzymałem się i wylegitymowałem, z trudem zachowując spokój. Obawiałem się, że zechcą skontrolować co niosę. Widocznie zachowałem się poprawnie, gdyż nic takiego nie przyszło im do głowy. Dotarłem szczęśliwie z moim niebezpiecznym bagażem na miejsce i oddałem

przyniesione dokumenty kpt. Tomaszewskiemu. Naturalnie zameldowałem o zajściu i o tym, że mocno to przeżyłem, widząc możliwość takiej potwornej wyspy. Jak łatwo było w tej sytuacji o fałszywy krok nie muszę chyba wyjaśniać.

Przekonany, że zleczone mi zadanie wykonałem, chciałem się odmeldować, ale kpt. Tomaszewski zatrzymał mnie i poinformował, że przyniesione przeze mnie papiery są do mojej dyspozycji i wręczył mi równocześnie nominację na stanowisko komendanta Obwodu AK Brzeżany wydaną przez Kom. Okręgu Tarnopol ppłk. Studzińskiego ps. "Rawicz". Byłem bardzo zaskoczony tą decyzją uważając, że na terenie miasta jest wielu bardziej predystynowanych na to stanowisko oficerów zawodowych lub oficerów rezerwy, względnie osoby które w okresie międzywojennym były zaangażowane w sprawy społeczno-polityczne. W okresie międzywojennym nie zajmowałem zbyt wysokiego stanowiska. Byłem podoficerem zawodowym cieszącym się wprawdzie autorytetem i zaufaniem u swoich dowódców, kolegów i podwładnych, ale zakres moich obowiązków i moich kompetencji był dość skromny. Te fakty przemawiały przeciwko decyzji Komendanta okręgu, ponieważ mogły być przyczyną nieporozumień i osłabić dyscyplinę wewnętrzną organizacji. Znane są nam z historii fakty, gdy niezdrowe ambicje poszczególnych osób były przyczyną nieporozumień i niepowodzeń spraw narodowych. Moje argumenty, przytoczone wyżej, nie przekonały kpt. Tomaszewskiego i Komendanta Okręgu. Stanęli oni na stanowisku, że w konspiracji powinien przewodzić ten, ktą się najbardziej do tego nadaje, a ich opinia w tej mierze została ustalona.

W ten sposób od 1.12.1942r. zostałem komendantem Obwodu AK na powiat Brzeżany z tym, że do kwietnia 1943r. dowodził Obwodem właściwie kpt. Tomaszewski, a ja pod Jego kierownictwem.

Kpt. Tomaszewski, jako oficer miejscowego 51 pp., ciężko ranny w kampanii wrześniowej 1939r., posiadał bardzo duży autorytet wśród miejscowego społeczeństwa i cieszył się jego pełnym zaufaniem. Dzięki niemu wśród żołnierzy AK znalazło się wielu wpływowych i bardzo wartościowych ludzi, co w znacznym stopniu ułatwiło mi później pełnienie tak odpowiedzialnego zadania na stanowisku komendanta Obwodu.

W walce z okupantem naród polski zjednoczył się wprost niewiarygodnie. Wspólne niebezpieczeństwo jakie zawisło nad naszymi głowami, utrata niepodległości i ohydny stosunek okupanta do nas, połączył we wspólnym działaniu wszystkich przeciwko najeźdźcy. Znikły wszelkie antagonizmy, różnice klasowe i społeczne, i wszyscy - inteligent, chłop i robotnik, biedny i bogaty - działali wspólnie. Nie było żadnych różnic. Ponad 5% ludności dorosłej, polskiej naszego powiatu, brało udział w konspiracji. Była to bardzo duża liczba, lecz mimo tak rozwiniętej konspiracji nie było ani jednej wyspy, ani też donosu, a świadczy to o wysokiej solidarności i patriotyzmie miejscowej ludności. Z całą satysfakcją muszę też stwierdzić, że całą naszą organizację cechowała wzorowa dyscyplina, gdyż wpływała ona jak sądzę, nie z przymusu, lecz z wewnętrznego przekonania o słuszności naszych działań.

Do końca 1942r. oddziały bojowe Obwodu zostały zorganizowane w ok. 60%-ch. Kancelaria Obwodu mieściła się na plebanii w pokoju ks. proboszcza Adama Łańcuckiego, który był zaprzysiężonym członkiem konspiracji już od pierwszych dni jej powstania. Przez całą wojnę przechowywał dwa sztandary artylerii, które przywiózł na Ziemię Odzyskaną, a następnie przekazał do Muzeum Narodowego w Warszawie.

Na początku 1943r. przenieśliśmy kancelarię Obwodu do mieszkania p. Burakowskich przy ul. Konfederackiej. W tym też czasie zorganizowaliśmy sztab Obwodu. Do końca 1942r. miałem w sztabie tylko oficera-sapera, którym był sierż. Józef Niedziałek ps. "Kosa", i dwie kurierki: Jadwigę i Helenę Burakowskie. Punkt kolportażu mieścił się w domu p. Mikuśzewskiej, a archiwum Obwodu u p. Neratów.

Na dzień 1.IV.1943r. sztab Obwodu przedstawiał się następująco:
Komendant Obwodu - st.sierż. Jan Cisek ps. "Mak", od 11.XI.43r. ppor.,
Z-ca kom. Obwodu - ppor. Zygfryd Szynalski ps. "Tryk",
Adjutant kom. Obwodu - st.sierż. Karol Całka ps. "Rosa",
Oficer-saper - sierż. Józef Niedziałek "Kosa",
Oficer wywiadu - ppor. Antoni Fandarowski ps. "Van",

Oficer kontrwywiadu - kpt. Antoni Szemelowski,
Lekarz Obwodu - dr Tadeusz Danek,
Komendantka WSK Obwodu - Halina Siwkowska ps. "Ina",
Komendant WSOP - st. sierż. Jan Wiktor ps. "Soplica",
Podoficer sztafetowy - st. sierż. Władysław Vogelgesang,
Kier. kancelarii - Helena Tomaszewska ps. "Giermek",
Dwie kurierki w mieście - Jadwiga i Helena Burakowskie,
Dwie kurierki do Okręgu - Stefania Bielecka i Wiktoria Kowalczyk
ps. "Zróżło", ps. "Hadiuga",
Sześć kurierek do poszczególnych kompanii i plutonów.

Na terenie miasta działała też Komenda Inspektoratu AK - krypto-
nim "Raróg", do którego należał Obwód Brzeżany i Obwód Podhajce.

Komendant Inspektoratu - kpt. Franciszek Tokarczyk vel Garwol
ps. "Dziuryt",
Adjutant kom. Inspektoratu - ppor. Holdys, belski,
D-ca plutonu łączności - ppor. Orek Lubelski,
Komendantka WSK Inspekt. - początkowo Lidia Skrzypek ps. "Nowina",
później od 1.7.1943r. por. Maria Szadaj
ps. "Szarotka", a w korespondencji z
Okręgiem "Granit",
Komendant WSOP Inspektoratu - st. sierż. Stanisław Nachman,
Oficer wywiadu - Leszek Kaliniewicz,
Lekarz Inspektoratu - dr Stefan Biliński.

Organizacja Wojskowej Służby Kobiet /WSK/



Komendantka WSK Insp.
Maria Szadaj ps. "Sza-
rotka", "Granit".

Komendantką WSK Obwodu jak w/w była Halina Siwkowska ps. "Ina". Nad zorganizowaniem służb kobiecych współpracowała z Kom. WSK Inspektoratu Lidią Skrzypek "Nowiną", później Marią Szadaj "Szarotką". Były one szczerze oddane pracy konspiracyjnej. Maria Szadaj, podobnie jak ja, prowadziła przed wojną praktyczne i teoretyczne zajęcia PW dziewcząt w Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym i w Gimnazjum Handlowym w Brzeżanach, co również ułatwiało jej pracę, zapewniało szerokie znajomości i pełne zaufanie. Kobiety zajmowały się łącznością, służbą sanitarną, podsłuchem rozmów telefonicznych niemieckich i przygotowaniem materiałów opatrunkowych. Duże usługi oddały też konspiracji jako łączniczki, organizatorki punktów kontaktowych i noclegowych. Szyły też opaski ze znakiem orła noszone na rękawach przez naszych żołnierzy w czasie akcji. Ogółem, łącznie z Komendą Inspektoratu zorganizowano w WSK 180 kobiet.

Drużyna telefoniczna WSK

Dowódcą drużyny telefonicznej była Danuta Siwkowska, która pracowała w centrali telefonicznej pocztowej. Wszystkie pracujące na pozycji kobiety były w konspiracji i wspólnie prowadziły podsłuch rozmów telefonicznych prowadzonych przez Niemców. Niezależnie od tego mieliśmy swoich ludzi we wszystkich urzędach i wszędzie, gdzie pracowały kobiety, telefony były opanowane przez WSK i wykorzystywane nie tylko do podsłuchu, ale też do przekazywania zdobytych informacji za pomocą specjalnie do tego celu ustalonych szyfrów alarmowych.

Służba ta oddała znakomite usługi konspiracji, gdyż poza wiadomościami o sytuacji na frontach i politycznej, mieliśmy również informacje o planowanych ruchach wojsk i różnych oddziałów paramilitarnych na tyłach, a z tym przecież była związana nasza działalność.

Dzięki podsłuchowi i powiadamianiu na czas, wielu ludzi uniknęło

aresztowania i represji.

Tu przytoczę jeden z faktów: W styczniu 1944 roku podsłuchano rozmowę gestapo z żandarmerią. Gestapo zażądało aresztowania i przewiezienia do Brzeżan, zawodowego przed wojną oficera /dowódcę naszego plutonu specjalnego w Litiatynie/, ppor. broni pancernej Jana Majchrzaka, który aktualnie pracował na folwarku w Litiatynie, w księgowości. Bezwzględnie został on powiadomiony o grożącym mu niebezpieczeństwie. Pozwoliło mu to na spokojne, nie wzbudzające niczyich podejrzeń wyjście z biura między wiejskie zabudowania i ukrycie się. W ten sposób uniknął aresztowania, a po kilku dniach został przerzucony drogą sztafetową, przez naszych żołnierzy, do Tarnopola i tam ukryty.

Służba sanitarna WSK

Dowódcą służby sanitarnej WSK była Zofia Gładyszowa, a z-cą d-cy Anna Raszpla. Służba ta była w WSK najsilniejsza, gdyż posiadała patroli sanitarne we wszystkich kompaniach i samodzielnych plutonach, prowadząc nieprzerwanie całą obsługę szpitala w Brzeżanach. Przez cały czas konspiracji, niezależnie od bieżącej pomocy ofiarom banderowców, gromadziły środki opatrunkowe i leki, co bardzo przydało się przy podjęciu działań obronnych na polskich wsiach, atakowanych przez coraz liczniejsze bandy banderowców i coraz zacieklej.

Ciekawie było zorganizowane szkolenie kobiet z patroli sanitarnych w terenie. Dla zachowania pozorów, kobieta kierowana na szkolenie rozgłaszała we wsi, że jest chora i musi iść do szpitala. Tu jako lżej chorą była kierowana przez personel medyczny do lekkich posług sanitarnych przechodząc w ten sposób kurs sanitarny bez wzbudzania podejrzeń.

Nieocenione usługi na odcinku zaopatrzenia oddziałów w leki, środki opatrunkowe oraz przeszkolenie służb sanitarnych oddał dyrektor szpitala dr Stefan Biliński wraz z drem Tadeuszem Dankiem, wykazując niespotykaną zapas energii i inwencji w tym zakresie.

Inne służby WSK

Poza w/w drużynami WSK zorganizowała i przeszkoliła sekcję radiotelegraficzną, sekcję szyfrowania, sekcję administracyjną, drużynę gońców, punkty kontaktowe, punkty noclegowe, punkty kolportażu i sztafety. W ramach kursów specjalnych przygotowała też WSK instruktorzy łączności, kreślarki map i szkiców terenowych, przeprowadziła kurs kurierek, gońców i sztafet, przygotowując kadry do zadań specjalnych.

Łączność Obwodu

Łącznością wewnętrzną w Obwodzie i na zewnątrz kierował st.sierż. Władysław Vogelgesang. Na podstawie opracowanego przez kpt. Tomaszewskiego planu łączności - zorganizował on:

- sztafetę do Tarnopola przez Szybalin, Kozowę, Teofipólkę, Płotyczę do Horodyszcz na teren Obwodu tarnopolskiego,

- drugą sztafetę do Tarnopola przez Baranówkę, Kuropatniki, Jakubowice, Wymysłów, Taurów, do Kozłowa na teren Obwodu Tarnopol.

Jako pierwsze ćwiczenie przesłania meldunków drogą sztafetową, wyśialiśmy życzenia imieninowe Komendantowi Okręgu do Tarnopola.

- Trzecią sztafetę przez Litiatyn do Obwodu Podhajce,

- czwartą sztafetę do Obwodu Złoczów przez Szumlany, Buszcze, Rekuszyn, Potoczany do Wicynia na teren Obwodu Złoczów.

Jako podoficer sztafetowy był Władysław Vogelgesang równocześnie dowódcą kurierek wchodzących w skład sztabu.

Organizacja Wojskowej Służby Ochrony Powstania /WSOP/

Komendantem WSOP Obwodu był st.sierż. Jan Wiktor. Jego zadaniem było organizowanie szkolenia oddziałów WSOP, a były one organizowane wszędzie tam, gdzie były organizowane oddziały bojowe. Przy samodzielnych plutonach były organizowane drużyny WSOP. Do tych oddziałów werbo-

wano ludzi od 35 lat wzwyż.

Obwód Brzeżany był podzielony na Rejony.

- Rejon pierwszy obejmował: Brzeżany, Buszcze, Baranówkę, Kuropatniki i Litiatyn. Ogółem 7 drużyn, które podlegały d-cy 1-ej komp. WSOP ppor.rez. Miźwińskiemu.
- W skład 2-ej komp. wchodziło 8 drużyn z miejscowości: Kozowa, Teofipólka, Wiktorówka, Helenków, Dubszcze, Jakubowce, Wymysłów, Budyłów, Taurów i Płotycza. D-cą komp. był ppor.rez. Marian Leszczyński.
- W skład 3 kompanii wchodziło 5 drużyn z miejscowości: Hucisko, Mieczyszczów, Demnia, Podwysokie, Łopuszna, Kurzany, Pawłów, Rohaczyn, Huta, Narajów, Zapust Lwowski. D-cą komp. był st.wachmistrz Władysław Motylewicz z Demni.

Inspekcja Obwodu

W miesiącu kwietniu 1943r. przyjechał na inspekcję Obwodu z-ca komendanta Okręgu Tarnopol mjr Pisula ps. "Tama". Skontrolowaliśmy z nim cały Obwód tj. wszystkie kompanie i plutony. Po skończonej inspekcji mjr "Tama" oświadczył, że stan osobowy jest zadawalający ale z ubrojeniem jest fatalnie. Plutony posiadały zaledwie po kilka sztuk i to różnorodnej broni, do tego z niewielką ilością amunicji. Ponieważ oddziały osiągnęły przewidywane stany osobowe, dowódcy otrzymali rozkaz zdobywania broni za wszelką cenę. Teraz dopiero zorientowałem się jak źle jest z bronią i jaką wartość ma dla nas każdy zdobyty karabin, pistolet, granat, a nawet kilka sztuk amunicji.

Jak posiadanie broni doceniali chłopię świadczy fakt, że za karabin chłop był gotów oddać chętnie nawet krewę.

K e d y w

Bezpośrednio po inspekcji otrzymałem rozkaz zorganizowania Kedywu. Należało z poszczególnych kompanii i plutonów wybrać patrole w sile 5 ludzi każdy, dobierając odważnych, wypróbowanych, zdecydowanych na wszystko i posiadających dobrą broń - chłopców. Na komendanta Kedywu wyznaczyłem swojego zastępcę ppor. Zygryda Szynalskiego ps. "Tryk".

Wybrał on, jak się później okazało, dobrze. Z 1 kompanii wybrał 3-y patrol, z 2 kompanii - 3-y patrol, z 3 kompanii - 1 patrol i z 4 kompanii - 2 patrole. Pluton samodzielny Narajów zorganizował 1 patrol. Tak zorganizowaliśmy 10 patroli w sile 50 ludzi.

Patrol "Barskich" w Brzeżanach otrzymał jeszcze dodatkowe zadanie pełnienia służby wartowniczej na peryferiach miasta w wyznaczonych do tego celu domach. Miało to na celu zabezpieczenie mieszkańców na peryferiach mieszkańców przed niespodziewanym napadem ukraińskich band UPA, palących dosłownie noc w noc pojedyncze gospodarstwa wiejskie i prawie całe wsie, o czym świadczyły łuny i dochodzące z oddali echa strzałów z różnego rodzaju broni. Ponieważ pełniący służbę wartowniczą żołnierze tego patrolu nie mogli w ciągu nocy rozstawać się z bronią i całą posiadaną broń mieli przy sobie / ukrywali ją w specjalnych schowkach dopiero nad ranem/, stwarzało to poważne zagrożenie w przypadku niespodziewanego wtargnięcia Niemców, do czego jednak na szczęście nie doszło poza jednym przypadkiem, o czym później.

Ale w okolicznych domach mieszkali Ukraińcy i patrol wartowniczy mógł zostać podpatrzony i zadenuncjowany Niemcom i stwarzało to dodatkowe utrudnienie. W tej sytuacji należało m.i. często zmieniać domy t.zw. "wartownie" i część broni przenosić na inne wyznaczone miejsca, a część ukrywać. Dla zmniejszenia ryzyka wpadki podczas przenoszenia broni, żołnierze tego patrolu posługiwali się czasem posiadanymi, kilkoma różnymi wprawdzie, ale oryginalnymi, niemieckimi mundurami, wykradzionymi przez anonimowe niestety bohaterki, członkinie WSK pracujące w dwóch zorganizowanych w naszym mieście szpitalach wojskowych.

Sprawę utrudniało niestety też to, że poza dowódcą nie znali języka niemieckiego i gdy kilkakrotnie, podczas przenoszenia broni otarli się o Niemców, przeżyli groźne, ale na szczęście dobrze zakończone

przygody.

Oto jedna z nich, którą zatytułowałem

" Banditen fangen "

Otóż pewnego dżdżystego i wyludniającego ulice październikowego wieczoru, wyszedł na ulice miasta w mundurze szeregowego Wehrmachtu odznaczonego "Żelaznym Krzyżem", Adolf Podhajecki ps. "Barski III", w celu przeniesienia od Stanisława Stalisia ps. "Czarny" do nowozorganizowanego punktu wartowniczego na Marcelinie u p. Marii Ciołkowej, karabinu automatycznego, 10-strzałowego typu "SWT 40" wraz z amunicją.

Za nim w pewnej odległości posuwała się obstawa złożona z kilku kolegów w cywilu. Przeniesienie karabinu odbyło się bez przeszkód. Przeszkoda wyrosła dopiero w drodze powrotnej, a stało się to tak:

Zadowoleni z udanej eskapady, powracali nasi bohaterowie już radowo i wesoło sobie gwarzyli. Nie podobało się to jakiemuś feldfeblowi, który zatrzymał umundurowanego A. Podhajeckiego i zaczął coś głośno wykrzykiwać, prawdopodobnie strofować go za conajmniej dziwne kontakty z cywilami. I tu zaszła rzecz, która naszego feldfebla wprowadziła w stan zupełnego osłupienia. Nasz wysokoodznaczony żołnierz niemiecki nie rozumiał nic, a raczej niewiele po niemiecku. Po wielu ręcznych i pseudoniemieckich wyjaśnieniach doszli wreszcie do ustalenia, że nasz "nieszczęsny bohater", to poprostu "Hiwi" czyli tzw. "Hilfswilinge" ukraińskiego pochodzenia, których oddział stał w mieście. Na taki bowiem pomysł wpadł, niezawodny w takich sytuacjach A. Podhajecki, w przekonaniu że to najlepiej tłumaczy jego nieznaną niemieckiego.

Ale rozsierdzony feldfebel nie zostawił go w spokoju lecz zażądał skontaktowania go z komendantem oddziału "Hiwi". Nie wiedział w pierwszej chwili Podhajecki, w którą stronę ma go prowadzić, ale zdecydował się błyskawicznie i poprowadził go w kierunku ruin i gruzów w zbombardowanej części miasta, gdzie postanowił wścibskiego feldfebla "uspokoić".

I szczęście mu dopisało. Gdy już dość głęboko weszli w ruiny i sytuacja stawała się napięta, gdyż nasz feldfebel szedł z tyłu prowadząc go pod pistoletem, usłyszał z otwartego okna, jednego z nielicznych ocalałych tam domów, gitarę i śpiewającego słynne "Hajli, hajlo" jakiegoś Niemca. Nie namyślając się wiele wskazał Podhajecki na to okno i powiedział: "Hier Kommandant".

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniła się sytuacja. Wścibski feldfebel schował pistolet, wyszedł do przodu i kazał Podhajeckiemu iść za sobą. Tą ułatwioną sytuację nasz bohater wykorzystał natychmiast.

Przy wchodzeniu do bramy tej ocalałej kamienicy, w której rezydował fikcyjny "Herr Kommandant", zdzielił w potylicę butnego feldfebla kolbką posiadanego, ukrytego pod bluzą, kawaleryjskiego pistoletu typu "VIS". Wydawało mu się, że zrobił to fachowo. Feldfebel leżał na ziemi bez ruchu. Szybko począł się więc oddalać od niebezpiecznego miejsca. Nie uderzył jednak dostatecznie mocno, bo gdy znalazł się już w pewnej odległości od tej kamienicy wśród przechodniów, usłyszał z tyłu głośne wrzaski niezmordowanego feldfebla: "Banditen fangen". Spowodowało to popłoch i masową ucieczkę przypadkowych przechodniów, którą wykorzystał i ukrył się między domami.

Zwolna szczęśliwie dotarł do swoich, bogatszy o jedno jeszcze doświadczenie.

Plan dywersyjny pod kryptonimem "P.1."

Plan dywersyjny dla Okręgu tarnopolskiego opracowany szczegółowo przez oficera operacyjnego Okręgu kpt. Tomaszewskiego jesienią 1942r., był podstawą organizacji oddziałów w terenie. Dobór ludzi w oddziałach i ich zaopatrzenie w broń i potrzebne materiały odbywało się stosownie do stawianych zadań dywersyjnych. Dzięki niemu, na terenie Obwodu brzeskiego wykonano szereg bardzo udanych i poważnych akcji dywersyjnych w znacznie większym zakresie, aniżeli to miało miejsce w innych Obwodach. Według założeń dowództwa AK przewidywano, że Niemcy dojdą aż do Uralsu i gdy rozproszą siły na tak rozległym terenie i przez to osłabną,

wówczas nastąpi ofensywa sił alianckich z południa Europy, a w Polsce wybuchnie powstanie. Oddziały AK na wschodzie, w czasie gdy gross sił niemieckich będzie się znajdować jeszcze na terenie Związku Radzieckiego, przygotowują dywersję tak, aby na wypadek powstania w Polsce powstrzymać przerzut wojsk niemieckich na zachód przynajmniej na 3 doby, przez stałe niszczenie linii komunikacyjnych i stwarzanie innych, różnego rodzaju przeszkód.

Szczegółowy plan dywersyjny dla Obwodu Brzeżany obejmował 24 punkty niszczeń, a dla każdego punktu: ilość ludzi, sprzęt, drogi dojścia, dokładne miejsce wypadu i podział funkcji przy niszczeniu.

Do najważniejszych punktów niszczenia należała stacja kolejowa Potutory, ponieważ była stacją węzłową na linii Lwów-Tarnopol i Lwów-Podhajce. Do niszczenia tej stacji przygotowano 2 plutony z 2 kompanii, bez drużyny z Mieczyszczo, która miała zadanie niszczyć urządzenia stacyjne na stacji kolejowej Mieczyszczo. W jej miejsce, dla uzupełnienia, była przygotowana 4-ta drużyna z Potutor, z samodzielnego plutonu z Litiatyna.

Drugim ważnym punktem niszczenia była stacja węzłowa Podwysokie, na linii kolejowej Stanisławów-Tarnopol i Lwów-Tarnopol. Do niszczenia tej stacji był przygotowany 3-ci pluton z 3 kompanii z miejscowości Podwysokie.

Trzecim bardzo ważnym punktem niszczenia były dwa drewniane mosty drogowe w Płotyczy na rzece Strypie. Do niszczenia tych mostów był przygotowany 1-y pluton z 4 kompanii i 1 drużyna z Płotyczy. Zaznaczyć tu należy, że zniszczenie tych mostów mogłoby bardzo powstrzymać ruch wojsk niemieckich, gdyż z jednej strony był staw o długości 5 km, a w dolinie rzeki Strypy, z drugiej strony, bardzo bagnisty teren trudny do przejścia, poprostu bagna. Z tego też powodu, do niszczenia tych mostów przygotowaliśmy się bardzo starannie, gromadząc w stertach folwarku duże ilości benzyny, nafty i smoły.

Czwartym ważnym punktem niszczenia był most drogowy na bagniskach rzeki Hrobelki, pomiędzy Teofipólką a Płotyczą. Do niszczenia tego mostu był przygotowany 4-y pluton z 4 kompanii z Budyłowa.

Poza w/w było zaplanowanych jeszcze 20 różnych punktów dywersji, a mianowicie: stacje kolejowe Mieczyszczo, Nagrabie, Krzywe, Kozowa, Żłota Słoboda, Hinowice i Buszcze oraz niszczenie torów kolejowych, ściąganie słupów telefonicznych na szosach i torach kolejowych, niszczenie przepustów drogowych, rozrzucanie kolców do przebijania opon oraz różne zasadzki i ataki ogniowe w dzień i w nocy na maszerujące niemieckie oddziały wojskowe.

Dla szczegółowego rozpracowania w/w planu zbieraliśmy się w mieszkaniu adwokata Schüssla, w pokoju na I piętrze, od miesiąca kwietnia 1943r. Ponieważ okna tego pokoju wychodziły na budynek żandarmerii, te plany opracowywaliśmy w odległości nie większej jak 10m od grających w karty żandarmów. Nie była to z naszej strony żadna nonszalancja lecz spostrzeżenie, że żandarmi wogóle nie zwracali uwagi na mieszkające w pobliżu posterunku polskie i ukraińskie rodziny. W pracach nad tym planem brali ze mną udział: mój z-ca, adjutant i oficer-saper. Praca nasza polegała na analizowaniu poszczególnych zadań, ustalaniu potrzebnego materiału, sprzętu i źródeł otrzymania, doborze właściwych ludzi do realizacji zadań i przeszkolenia poszczególnych dowódców patroli dywersyjnych.

Do przygotowania dla tych oddziałów sprzętu i materiałów do dywersji został zobowiązany oficer-saper st. sierż. Józef Niedziałek, który z powierzonego zadania wywiązał się bardzo dobrze. Zaopatrzył on zgodnie z planem wszystkie oddziały w łomy, klucze do rozkręcania szyn, piły do metali, dziurkowniki, kolce do przebijania opon, setki litrów nafty, benzyny i smoły. Przeprowadził ze wszystkimi dowódcami w terenie przeszkolenie, często nawet na planowanym miejscu akcji.

Z kolei dowódcy przeszkolili swoich żołnierzy, co doprowadziło do tego, że w krótkim czasie mieliśmy 450 ludzi gotowych do akcji.

Podoficer sztafetowy szkolił gońców i sztafety do poszczególnych oddziałów. Wypracowane zostały też i zsynchronizowane dokładne czasy na tej podstawie sporządzona tabela czasów, stanowiąca załącznik do planu dywersyjnego "P.1."

Szkolenie oddziałów

W m-cu kwietniu 1943r. przyjechał do Brzeżan kpt. Tomaszewski aby przedstawić mi możliwości zorganizowania szkoły podchorążych i szkoły podoficerskiej. Omówiliśmy szczegółowo sposób prowadzenia szkolenia i otrzymałem od niego programy i plany szkolenia obowiązujące w całym Okręgu.

Do szkoły podchorążych można było przyjmować żołnierzy AK którzy posiadali wykształcenie średnie i ukończyli II stopień Przynależności Wojskowej. Do szkoły podchorążych zostali przyjęci: Szemelowski, Kunysz, Kunysz młodszy, Fudeman Ryszard, Rapf Witold, Czerkas Jerzy, Grzybowski Stanisław, Korczyński Stanisław, Adamczyk Adam, Nowak Józef, Froński Zbigniew, Malawski Jerzy, Faust Mieczysław i kilku innych. Wykłady i ćwiczenia prowadził por. Marian Jaremowicz, ppor. Hołdys i sierż. Franciszek Fila. Opiekunem klasowym był por. Zygfryd Szynalski. Nauka odbywała się w klasach po 4 ludzi. Na zajęcia były oddane domy; Ziółkowskich, Kruczkiewiczów, Bartów, Czerkasów i Rapfów. Kurs trwał 6 m-cy. Wszyscy zdali pomyślnie egzaminy i zostali mianowani kapralami podchorążymi.

Szkoła Podoficerska została zorganizowana z 14 żołnierzy AK. Do tej szkoły zostali przyjęci żołnierze, którzy ukończyli 7 klas szkoły podstawowej i mieli ukończony II stopień P.W., albo służyli w wojsku co najmniej 5 miesięcy. Opiekunem klasowym był por. Wasilewski. Zajęcia prowadzili: Józef Kurtacz, sierż. Władysław Michalak. Szkołę podoficerską ukończyli wszyscy i zostali mianowani st. strzelcami. Równocześnie ze szkoleniem w w/w szkołach, rozpoczęliśmy szkolenie wszystkich żołnierzy oddziałów bojowych i oddziałów dywersyjnych.

Opracowałem program nauki o broni, strzelectwa, służby polowej pojedynczego żołnierza, obchodzenia się z granatami i butelkami wybuchowymi /zapalającymi/. W.S.K. zorganizowała szkolenie w drążynie łączności, sanitarnej i w sekcjach: radiotechnicznej, szyfrowej i administracyjnej.

Młodzież przystąpiła do pracy z wielkim zapałem i poświęceniem. Każde polecenie władz konspiracyjnych było wykonywane chętnie i bez najmniejszego sprzeciwu. Okres od maja do września 1943r. był dobrze wykorzystany na szkolenie i przygotowanie dywersji.

Sprawa bezpieczeństwa naszych żołnierzy

Aby działalność konspiracyjna mogła przebiegać w miarę spokojnie i aby żołnierze nie odczuwali zbyt różnego rodzaju zagrożeń, podjęliśmy pewne działania. Jeśli z początkiem 1942r. Niemcy wywieźli na przymusowe roboty pewną, na szczęście niewielką liczbę Polaków, to podejmując różne kroki nie dopuściliśmy już więcej do tego. Przede wszystkim dużo poszło do pracy w różnych urzędach /zwłaszcza kobiet/, a ci którzy nie mogli pracować, ze względu na brak odpowiednich miejsc pracy, zostali umieszczeni w wykazach jako "martwe dusze". Ja np. pracowałem przy regulacji rzeki jako Wassermeister, tylko nikt mnie tam nigdy nie widział. Najwięcej ludzi chroniło przed wywózką dekowanie się w zbiornicy złomu, której kierownikiem był Reichsdeutsch Sniadecki. Urządził się on bardzo sprytnie i chronił na lewych papierach ok. 30% zatrudnionych. Zarejestrowani oni byli jako zbieracze złomu, szmat i makulatury. Ponieważ na każdego zarejestrowanego przypadała pewna ilość obowiązkowej dostawy złomu czy makulatury, Sniadecki wpisywał pewną dostarczoną z różnych źródeł ilość złomu i odpadów jako dostarczoną przez tych zbieraczy, a raczej pseudozbieraczy. W tej zbiornicy "pracował" prawie cały sztab Inspektoratu i częściowo Obwodu i posiadał z tego tytułu lewe zaświadczenia pracy chroniące dość skutecznie przed wywózką. Zbiornica ta służyła nam też od czasu do czasu za magazyn broni i amunicji. Najwięcej baliśmy się o samego Sniadeckiego, bo jak się upił, a zdarzało mu się to dosyć często, chwycił pistolet i groził że będzie strzelał do Niemców.

I zbiornica złomu i jej kierownik Sniadecki przetrwali jakoś szczęśliwie do końca okupacji.

W y w i a d

Mieliśmy doskonale zorganizowany wywiad. Dosłownie we wszystkich urzędach mieliśmy swoich ludzi. Nawet w "Kripo" mieliśmy aż trzech granatowych policjantów: Baciurę, Okleka i Obłąkowskiego. Dostarczali oni często ważnych informacji. Sierżant Oklek używany był przez nas do przewożenia prasy podziemnej ze Lwowa do Brzeżan oraz jako konwojent.

Jednego razu, gdy ubezpieczał Władysława Wiszczuka przy przewożeniu prasy ze Lwowa do Brzeżan, między stacjami Przemyślany, a Dunajowem, weszło do pociągu dwóch żandarmów i zaczęli rewidować bagaże i sprawdzać dokumenty. Oklek przejął walizkę od Wiszczuka i wyraźnie poprawił położenie pistoletu, aby ułatwić sobie jego wydobycie. Gdy żandarmi podeszli, wylegitymował się i wskazując na walizkę oświadczył, że jest jego. Żandarmi odeszli nie kontrolując bagażu i Oklek wyraźnie odetchnął. Na pytanie Wiszczuka - "Jaśku, co byś zrobił, gdyby?" - "Nic specjalnego" - odpowiedział. - "prostu musiałbym ich uspokoić, gdyby się im coś nie podobało, pociągnąć za hamulec i uciekać w pole. Innego wyjścia nie widziałem."

Podobny wypadek miał miejsce, gdy prasę przewoziła Emilia Centar, również pod opieką Okleka.

W więzieniu mieliśmy na naszych usługach aż pięciu strażników; w Baudienscie - Pawlusa, w żandarmerii - tłumacza Wróblewskiego, kucharkę i sprzątaczkę. Wróblewski, Polak z Pomorza, zaprzyjaźnił się z domem Szynalskich i to do tego stopnia, że przychodził bez uprzedzenia. W ten sposób zastał nas raz przy pracy nad mapą i innymi dokumentami na stole. Przebra przyznać, że cofnął się i wyszedł z pokoju. Wtedy zaniepokojony zapytałem Szynalskiego - "Co z nim zrobimy?" Odpowiedział mi wtedy: "Zostaw to mnie. Ja to z nim załatwię". Okazało się, że Wróblewski chętnie zgodził się wstąpić do konspiracji i od tego czasu mieliśmy w żandarmerii wtyczkę.

W żandarmerii mieliśmy również drugą przyjazną duszę. Był nią żandarm Pankrac, Austriak. Dobrze mówił po polsku i sprzyjał Polakom, ale trzymał się z daleka. Przy końcu 1943r. zaprzyjaźnił się z dziewczyną, Polką. Nie wiem co go skłoniło, czy klęski na wschodnim froncie czy sympatia dla Polaków, bo kilku ostrzegł przed aresztowaniem i nawet pomagał przy wpadce. O tym jak uratował życie młodemu chłopcu, wnukowi p. Politewiczowej, opowiem w rozdziale "Szczęśliwie zakończone wpadki".

Najtrudniej było o wiadomości z Gestapo. Dopiero w 1943r. udało się nam ulokować tam "wtyczkę". Był nią volksdeutsch Zygmunt Czop, młody bo 17-letni chłopiec. Pracował on w policji kolejowej /Bahnschutz/, kolegował jednak tylko z Polakami, często uprzedzał o planowanych rewizjach w pociągach, a nawet ochraniał niektórym podróżnym bagaże podczas rewizji. Wszystko wskazywało na to, że Czop czuje się Polakiem. Chociaż jego ojciec podpisał "volkslistę", postanowiliśmy wciągnąć go do konspiracji i namówić aby wstąpił do gestapo. Zadanie to otrzymał jego kolega szkolny Bronisław Buczek. Udało mu się namówić go w jakiś sposób i od wiosny 1943r. mieliśmy wtyczkę w Gestapo. Jego praca polegała na pilnowaniu budynku i wykonywaniu różnych posług. Wiadomości i zdobytą broń przekazywał Mieczysławowi Budzanowi, a ten z kolei oficerowi wywiadu Antoniemu Fanderowskiemu. Wiosną 1944r. zabrał z gestapo pistolet i przeniósł do sąsiedniego domu, oddając go Ryszardowi Nachmanowi. I to był koniec jego działalności w Gestapo. Podejrzanie o kradzież padło na niego, został aresztowany, ale po kilku dniach zwolniony z braku dowodów. Ponieważ widział, że gestapowcy nie mają już do niego zaufania, wyprzedził nadarżającą się po paru tygodniach okazję, zabrał pistolet i aszynowy z amunicją i nie powrócił więcej do pracy.

Początkowo ukrywaliśmy go w mieście, a po kilku dniach przekazaliśmy go kompanii leśnej.

Jak działał nasz wywiad, niech posłużą następujące przykłady

1. Przykład ten mówi o wyraźnej współpracy Ukraińców z Niemcami, stwierdzamy to na podstawie takiego zdarzenia: Gdy Z. Szynalski podjął pracę w garażach samochodowych, już po kilku dniach miał zdobycz, nie-

wielką ale wiele mówiącą. W kilka dni, po podjęciu przez Szynalskiego pracy przyjechał ze Lwowa, z zaopatrzeniem do ukraińskiego sklepu, samochód ciężarowy. Gdy kierowca i konwojent poszli do biura załatwiać jakies formalności, Szynalski wszedł do szoferki i wyjął z niej, widoczny z daleka, zwój prasy UPA. Obserwując przez okno zauważył, że kierowca, po powrocie, bardzo się zdenerwował i przeraził, że brak prasy, za której dostarczenie był chyba odpowiedzialny. Nie miałoby to dla nas wielkiego znaczenia, gdyby nie fakt, że w dwa dni później przyszedł do Szynalskiego znany już nam tłumacz żandarmeryjny - Wróblewski i powiedział mu: "Zygryd, daj spokój, mamy ciebie obser-tychmiastowe zwolnienie z pracy podpisane przez ukraińskiego starostę Babiaka, a to chyba mówi samo za siebie.

2. Pewnego dnia Jan Jonasz otrzymał kopertę, w której znajdowała się "Tabela czasów" opracowana przez dla dywersji w związku z planem "P.1.". Koperta ta miała być odwieziona przez naszą kurierkę do Okręgu

W niewyjaśnionych okolicznościach zgubił on tą kopertę gdzieś na ulicy.

Rano, przypadkowa znalazczyni tej koperty, jakaś Ukrainka, odniosła ją na ukraińską milicję, skąd dostała się na żandarmerię. Już o godz. 900 wiedzieliśmy o tym, a także to, że żandarmi nie mogą się zorientować o jakie oddziały chodzi, ponieważ potrzebny był szyfr. Mogli się tylko domyślać, że istnieje jakaś polska organizacja dywersyjna, ponieważ w nagłówku było podane: "Tabela czasów oddziałów dywersyjnych Kobus". Pismo to przesłali do Lwowa do badania przez specjalną komórkę

3. W m-cu marcu 1943r. przyszedł do mnie strażnik Baudienstu Józef Pawlus i ostrzegł, że otrzymał rozkaz z Gestapo obserwowania mego domu dla ustalenia moich kontaktów. Powiedział mi przy tym, że nie jest pewny czy nie ma więcej takich, którzy mają pilnować mego domu. Kazałem mu przyjść za kilka dni, to powiem co ma zrobić.

Sprawę zgłosiłem Komendantowi Inspektoratu, który przeraził się tym i kazał mi na 2 m-ce wyjechać i nie wracać, aż sprawa ucichnie.

W tym czasie przyjechał do Brzeżan kpt. Tomaszewski, który inaczej to widział. W/g niego, gdyby gestapo coś wiedziało, to nie tak stawiałoby sprawę. Poleciałem więc wszystkim przerwanie wszelkich kontaktów ze mną w moim domu. Ustaliłem, że spotkania ze mną może nastąpić tylko na punkcie kontaktowym. Po tygodniu przyszedł do mnie Pawlus i wtedy poleciałem mu, aby na Gestapo złożył meldunek, że pilnował mego domu w różnych porach i ustalił, że we wtorki i piątki przychodzą do mnie ludzie ze wsi, bo robię dobre mydło. Podobno ten meldunek spowodował, że odbierający go gestapowiec machnął ręką i miał powiedzieć: "Scheisse". Uważałem, że przestano się mną interesować.

4. W m-cu maju 1943r. komendant Kripo polecił swemu zastępcy, aby ustalił w magistracie adres Bolesława Tomaszewskiego. Podszedł tam rozmowę pracownik Kripo, Baciura. Aby nie wzbudzić podejrzeń, nie wyszedł sam, lecz wysłał do Polskiego Komitetu Opiekuńczego znanego już nam Okleka. Stąd bezwzględnie zawiadomiono o zagrożeniu p. Halinę Tomaszewską. Zanim przyszli gestapowcy, wszystko co mogło być kompromitujące zostało usunięte i sprawa ucichła, ale tylko pozornie.

Chociaż kpt. Tomaszewski bardzo żywo interesował się pracą Obwodu i często przyjeżdżał do Brzeżan, od tego momentu przestał przyjeżdżać i kontakt z nim utrzymywałem przez Jego żonę p. Halinę.

W lipcu został przez gestapo wysłany do Lwowa, w celu wytropienia kpt. Tomaszewskiego, agent o nazwisku Męskiw. Natychmiast zostaliśmy o tym poinformowani i ostrzegliśmy kpt. Tomaszewskiego podając dokładny rysopis Męskiwa.

W ten sposób sprawa znowu spaliła na panewce.

Organizacja samoobrony

W związku z trwającymi od dłuższego czasu napadami band UPA na polskie wsie na Wołyniu, masowe mordy i pożary, doszły do nas wiadomości, że działalność band UPA przesuwają się w nasze strony i w niedługim cza-

sie rozpoczną oni napady i mordowanie ludności polskiej na terenie województwa lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego.

Wobec zaistniałego zagrożenia ze strony Ukraińców opracował kpt. Tomaszewski plan samoobrony ludności polskiej. W myśl tego planu, wszędzie gdzie mieszkała ludność polska przystąpiono do organizowania samoobrony tworząc; w małych skupiskach punkty samoobrony, a w miejscowościach większych, zamieszkałych w większości przez ludność polską lub czysto polskich - ośrodki samoobrony. W wypadku bezpośredniego zagrożenia i niemożności obronienia się w punktach samoobrony, ludność polska miała się ewakuować do najbliższych ośrodków samoobrony, gdzie wspólnymi siłami mogła się przeciwstawić atakującym bandom UPA. Takimi punktami samoobrony były zwykle kościoły, gdzie zgromadzona ludność polska, po przetrwaniu nocy, rankiem, po odstąpieniu band UPA, mogła spokojniej decydować o swoim losie.

Jak już poprzednio zaznaczyłem, byłem dobrze zorientowany w sprawach ludnościowych naszego powiatu z tytułu mojej pracy na stanowisku instruktora P.W., toteż po otrzymaniu rozkazu zorganizowania samoobrony, łatwo mogłem zdecydować, w których miejscowościach zorganizować punkty samoobrony, a które wyznaczyć na ośrodki samoobrony i ustalić kierunki ewentualnej ewakuacji ludności.

Po przeanalizowaniu tej sprawy z dowódcami kompanii i samodzielnych plutonów, samoobronę ludności zorganizowałem następująco:

- Ośrodkiem Samoobrony było miasto Brzeżany, a w otaczających miasto wsiach: Szybalin, Baranówka, Hinowice, Posuchów, Nowa Grobla, Leśniki, Raj, Olchowiec, Rybniki i Kotów, powstały punkty samoobrony. Kierunek ewakuacji - Brzeżany.

- Ośrodkami Samoobrony były miejscowości: Hucisko, Demnia, Podwysokie, które zorganizowały samoobronę wiązaną, polegającą na przychodzeniu sobie z wzajemną pomocą i atakowaniu przy tym, napastników UPA pod napadniętą miejscowością - z tyłu. Realizacja tego planu przez miejscowych dowódców była tak wspaniała, że po pewnym czasie "Trójkąt Hucisko-Demnia-Podwysokie" zyskał sobie u Ukraińców miano "drugiej Warszawy";

- Ośrodkami Samoobrony były też miejscowości: Rohaczyn Miasteczko i Huta, a także miasteczko Kozowa, do której miały się ewakuować miejscowości: Uwsie, Kalne, Helenków, Dubszcze, Kozówka, Jakubówka, Wymysłówka, Wiktórowka, Teofipólka, Budyłów, Taurów, Litiatyn.

- Na Ośrodek Samoobrony wyznaczyłem też dużą wieś Kuropatniki o znacznej większości ludności polskiej i

- miasteczko Narajów, do którego miał się włączyć Zapust Lwowski nie mogący zorganizować nawet punktu samoobrony oraz

- Buszcze, do którego miały się włączyć: Szumlany, Strychaniec, Rekszyn, Dryszczów i Wolica.

Wszędzie wyznaczono komendantów punktów i ośrodków samoobrony, przygotowano stanowiska obronne, zorganizowano system ubezpieczeń i alarmowania, przygotowano wszelką posiadaną broń i przeszkolono całą ludność przeprowadzając ćwiczenia, aby w czasie napadu kobiety i dzieci były bezpieczne i nie utrudniały obrony.

Do udziału w samoobronie był zobowiązany każdy Polak zdolny do walki przy użyciu broni palnej i wszystkich innych, dostępnych środków obrony jak widły, siekiery, kosy itp. Zorganizowane oddziały bojowe miały teraz, jako najważniejsze, zadanie obrony miejscowej ludności. Ich dowódcy musieli więc przeprowadzić odpowiednie prace organizacyjne dla zapewnienia dyspozycyjnych oddziałów odwodowych dla zapewnienia szybkiej interwencji w krytycznych momentach walki w danej miejscowości lub przyjscia z odsieczą sąsiednim ośrodkom czy punktom samoobrony.

Niestety samoobrona odniosła tylko częściowy skutek. Była skuteczna wszędzie tam, gdzie była dostateczna ilość broni i skupisko ludności polskiej wystarczająco duże. Najskuteczniejszy opór stawiały bandom UPA dobrze uzbrojone oddziały 2 kompanii i one też zadały im najpoważniejsze straty. Słabym punktem samoobrony, obok braku broni i zapowiadanych zrzutów, było przede wszystkim to, że ludność wiejska nie chciała opuszczać swoich domostw, co wykorzystali Ukraińcy napadając

na dosłownie bezbronnych starców, kobiety i dzieci w małych miejscowościach, bezlitośnie mordując ludność i paląc polskie gospodarstwa.

A co w tym czasie z Żydami?

Gdy z jednej strony Ukraińcy, to z drugiej strony Niemcy też nie próżnowali. W czerwcu 1943r. ogłosili "Judenfrei" tzn. pełną esterminację Żydów. Już w pierwszym dniu rozstrzeleli 1.600 Żydów, w dwa dni następnych. Co kilka dni odbywały się w tym czasie mniej lub bardziej liczne egzekucje. Żydzi widząc, że grozi im już całkowita eksterminacja, wybudowali w swojej dzielnicy różne schowki i kryjówki, a niektórzy poukrywali się u Polaków lub Ukraińców - inni pouciekali do lasu. Dało to ukraińskiej policji wspaniałe pole do popisu.

Cały rok trwało to tropienie Żydów, jak dzikie zwierzęta, przez UPA i ukraińską milicję. Egzekucje schwytych można było oglądać, gdyż odbywały się one ciągle na widocznym, od strony Miasteczka i przedmieścia Gachy, stoku wzgórza, na którym znajdował się żydowski cmentarz. Ponieważ odległość od niektórych polskich domostw nie była większa jak 400 do 500 metrów, można było nawet rozpoznać znajomych Żydów, ginących wraz z dziećmi i żonami zupełnie bezsensownie. Zabawiali się przy tych egzekucjach pijani gestapowcy. Widziano raz nawet jak gestapowiec Hermann wyrwał z rąk matki dziecko, wyrzucił je w górę i strzelał do niego jak do "rzutki". Czy je zabił, czy zostało pogrzebane żywcem, nie wiadomo. Tylko raz udało się i tylko jednemu, z traconych tam Żydów, ucieść z życiem. Gdy stał już w pobliżu domu, wyskoczył z rzędu i zaczął uciekać lawirując pomiędzy nagrobkami, a po przeskoczeniu cmentarnego muru dalej poprzez ogrody i płoty. Strzelano za nim, ale szczęście mu dopisało. Znikł wśród zieleni ogrodów i ktoś udzielił mu schronienia, ratując od śmierci choć sam się na nią narażał.

A oto inny obraz żydowskiego dramatu: Gdy raz, w tym czasie, prowadzili Niemcy na cmentarz grupę około 300 Żydów, ci po wyjściu poza miasto rozbiegli się, próbując uciec. Konwojujący ich Niemiec i czterech ukraińskich milicjantów, otworzyli za nimi ogień. Kilku Żydów poległo, a reszta grzecznie zebrała się, ustawiła w kolumnę marszową i pomaszerowała w ciszy na cmentarz. Gdy z jednej strony trudno wytłumaczyć jak mogło dojść w centrum Europy do legalnego ludobójstwa, to z drugiej nie rozumiem dlaczego Żydzi pozwalali się tak bezkarnie mordować. Przecież ci ludzie nie mieli nic do stracenia. Mogli ratować życie swoje i swoich najbliższych, likwidując konwoje i zabijając lub przepędzając prowadzących ich na rozstrzelanie Niemców i zmieniać losy swoich bliskich. Nie zrobili tego nigdy.

Dodać tu muszę, że w pierwszych dniach po ogłoszeniu "Judenfrei" w tropieniu Żydów, ich chwytaniu i pilnowaniu pomagała milicja żydowska. Może miała nadzieję, że ich to uratuje od śmierci, ale nic im to jednak nie pomogło, a było to przecież tak podłe. Poszli na rozstrzelanie jako ostatni.

Straszne też przeżycie miała łącznie z tym mieszkająca w Ruryskach Polka, wdowa po zamordowanym przez Ukraińców sołtysie, Hudziku.

Przechowywała ona rodzinę żydowską i ktoś o tym doniósł Niemcom. Przyszli, kazali biednej kobiecie wykopać pod oknem swego mieszkania dół, rozstrzelali całą przechowywaną przez nią żydowską rodzinę i kazali jej ten dół ze zwłokami zasypać. Myślę, że to nie wymaga komentarza - robili Niemcy z ludźmi co chcieli.

Nieoczekiwana inspekcja Obwodu

W połowie lipca 1943r. przyjechał na inspekcję Z-ca Kom. Okręgu mjr Pisula "Tama". Wezwano mnie na punkt kontaktowy i tam usłyszałem pierwsze słowa mjra: "No panie Obwodowy, chcę widzieć jedną pańską kompanię."

Najwygodniej mi było zebrać 2 kompanię, gdyż miejscowości z których była zwerbowana leżały pomiędzy lasami. Posłałem więc gońca do 1-cy Kompanii z rozkazem, aby ten przeprowadził zbiórkę kompanii i po-

dał mi przez gońca dzień, godzinę i miejsce zbiórki. Zgodnie z ustaleniami poszliśmy przez las do Kolonii Dąbrowa, gdzie w domu Szczyńskiego miało nas oczekiwać dwóch żołnierzy patrolu, mających nas do prowadzić na miejsce zbiórki kompanii, wyznaczone w Głębokiej Dolinie.

Na zbiórkę przyszło 125 ludzi tj. 90% stanu kompanii. Nie przyszli ci, których nie było aktualnie w domu. D-ca kompanii ppor. Władysław Motylewicz zebrał żołnierzy w dwuszeregu, odliczył i złożył raport majorowi. Mjr Pisula powitał żołnierzy, w krótkich słowach podziękował za ofiarną postawę i pracę związaną z działalnością konspiracyjną w szeregach AK, przedstawił sytuację na frontach i objaśnił zadania stojące aktualnie przed Armią Krajową. Dodać muszę, że żołnierze tej kompanii zostali zebrani w pełnym składzie po raz pierwszy i po to, aby mogli się poznać. Była to próba, która mogła mieć też kiepskie następstwa. Były to jednak czasy wymagające poważnego nieraz ryzyka. Okazało się, że miało to pozytywne następstwa. Wzrosło wzajemne zaufanie i poczucie bezpieczeństwa w miejscowym społeczeństwie.

Po przeprowadzonej kontroli i przenocowaniu w Hucisku, mjr Pisula pojechał do Podhajec. Przed wyjazdem wyznaczył jeszcze dzień zbiórki patroli Kedywu.

Zbiórkę patroli zorganizował komendant Kedywu por. Zygfryd Szynalski za miastem, w lesie na górze Zwierzyniec. Na zbiórkę ściągnęło 7 patroli / 3 patrole z Huciska nie przyszły, gdyż były już na zbiórce kompanii /. Po przeprowadzeniu inspekcji patroli Kedywu, uznał mjr Pisula, że patrole te są wysokiej wartości bojowej i należyce przygotowane do działań dywersyjnych. W tej sytuacji otrzymaliśmy rozkaz rozpoczęcia dywersji na linii kolejowe prowadzące na front.

Akcja Brüncken

Dywersję rozpoczęliśmy już 1-go sierpnia 1943r. Jako pierwszego Niemca do zlikwidowania wyznaczyliśmy barona von Brüncken, Kreisoberverwaltera, który był zarządcą folwarków w powiatach Brzeżany, Podhajce i Rahatyn. Na folwarkach pracowali przeważnie Polacy, a baron von Brüncken jak tylko mógł dawał im odczuwać, że ich nienawidzi, szykanując przy każdej okazji. Robił to tym wyrafinowanie, że podjudzała go do tego jego sekretarka Oksana Baczyńska, trzeba przyznać bardzo ładna córka proboszcza grecko-katolickiej parafii w Brzeżanach, i na pewno po to by się jej przypodobać. Zamieszkał on na folwarku w Litiatynie w pałacu Wojciechowskich i stamtąd często wyjeżdżał końmi do odległych o 12 km Brzeżan i 18 km Podhajec. Postanowiliśmy go zlikwidować na szosie Litiatyn-Podhajce, niedaleko ukraińskiej wsi Murzyłów. Było to najdogodniejsze miejsce, gdyż szosa przebiegała tam lasem pozwalającym na szybkie ukrycie się po akcji.

Do wykonania zadania wyznaczyliśmy dwóch dzielnych chłopców z Budyłowa odległego o 35 km od miejsca akcji. Zostali oni umieszczeni u jednego gospodarza w Litiatynie. Ich nazwiska - Józef Wojtuś i Józef Szuba. Jak tylko przyszła wiadomość, że baron wyjechał końmi do Podhajec, udali się na miejsce akcji i przygotowali zasadzkę. Nie byli oni jednak oswojeni z tego rodzaju akcjami i trochę to nie wyszło. Gdy jacyś z jakimiś Niemcami bryczka zbliżyła się do miejsca w którym byli ukryci, wyskoczyli z lasu, oddali do nich kilka strzałów, zabrali im broń i wycofali się lasem na ustalone miejsce. Przy życiu pozostał woźnica, Ukrainiec, który zeskoczył z kozła i uciekł w pola. Okazało się później, że pszabijani Niemcy - to komendant posterunku żandarmów z Podhajec i jeden z żandarmów, a nie baron.

Ucieczka woźnicy, Ukrainca, nawet nie ranionego, zmieniła sytuację i nastawienie Niemców, a szczególnie barona do Polaków. O ten narząd oskarżali ukraińskich nacjonalistów i chociaż znana nam już sekretarka barona Oksana Baczyńska, jak podsłyszał księgowy Kaliniewicz, przekonywała barona, że zrobili to Polacy, że tak jak mordują w Warszawie, Krakowie i w całym gubernatorstwie, "zaczynają już tutaj". Nie przekonała jednak barona, który odpowiedział: "Tak, to wszystko prawda, tylko że tym razem woźnica nie został zamordowany, a to przecież Ukrainiec. Od tego czasu zmienił też stosunek do Polaków i dlatego też zrzężył."

Akcja "Nafta" /Szkic nr 1./

15 sierpnia 1943r. dowódca 2 kompanii AK ppor. Władysław Motylewicz ps. "Topola" przeprowadził akcję na linii kolejowej Chodorów - Tarnopol, między stacjami Mieczyszców i Nagrabie. Akcję tą wykonał z patrolem w składzie: Michał Wiśniewski, Klemens Rawski, Grzegorz Łużny i Kazimierz Łużny, a była ona przygotowana z dyżurnym ruchu Mieczysławem Preslerem, który pełnił funkcję z-cy d-cy kompanii. Doświadczalnie uzgodnił z nim znaki sygnalizujące przejazd pociągu, na który zaplanowano akcję i stanowisko jakie zajmie patrol w odległości około 2 km na wschód od stacji Nagrabie w lesie przy torze.

W czasie wyczekiwania na pociąg patrol poluźnił nieco śruby i haeki, aby łatwiej móc rozkręcić szyny, gdy nadjedzie transport na który czekali. Między godz. 22-gą, a 23-cią, gdy tylko przejechał pociąg osobowy, otrzymał patrol sygnał świetlny / 3 duże koła latarką / informujący, że nadchodzi transport wojskowy. Szybko uporano się z rozluźnionymi szynami i jedną odsunięto nieco na bok.

Nie czekali długo na efekty swej pracy. Gdy spoza zakrętu wyjechał pociąg ciągniony przez dwie lokomotywy i najechał na uszkodzony odcinek toru, przeżył patrol trudne do opisania emocje. Widok był nie samowity. Pierwsza lokomotywa spadając z dość wysokiego w tym miejscu nasypu, pociągnęła za sobą część wagonów i cystern, co wywołało poważne rozmiary przygotowanej katastrofy. Rozbita została lokomotywa, wagon i 8 cystern z paliwem. Prawdopodobnie zostało przy tym 3 Niemców rannych.

Katastrofa ta wywołała duże zamieszanie wśród Niemców, gdyż była to linia kolejowa przez Tarnopol do Kijowa, a więc mająca poważne znaczenie strategiczne.

Sprowadzono bezzwłocznie dwa pociągi ratownicze i około 300 robotników z Tarnopola i Stanisławowa. Dzień i noc trwały prace nad usuwaniem skutków katastrofy.

Dla zwiększenia zamieszania ppor. Wł. Motylewicz wysłał następnego dnia, tuż przed zapadnięciem zmroku, patrol pod dowództwem kpr. Augusta Szczepańskiego z zadaniem urządzenia zasadzki i ostrzelania jeżdżących szosą, w związku z katastrofą, Niemców. Zasadzkę urządzono na Kurmance w lesie nad szosą do Brzeżan. W tym czasie ppor. Motylewicz z drugim patrolem podszedł w pobliże miejsca katastrofy i ostrzelał na postrach pracujących tam robotników, i Niemców z broni maszynowej.

Robotnicy porzucili pracę i schronili się w pociągu ratowniczym, który zaraz odjechał do Potutor. Dla ponownego zorganizowania robót, wyjechała z Brzeżan z nietęgimi minami, z karabinami gotowymi do strzału, kompania "Schupo". Napewno niechętnie wyjeżdżali bo to była noc, a więc pora w jakiej Niemcy raczej unikali lasu. Gdy tylko wyjechali poza wioskę Raj i samochody wjechały na kolce do przebijania opon, patrol kpr. Szczepańskiego otworzył do nich silny ogień, na który Niemcy niestety odpowiedzieli wyskakując z wozów i zajmując stanowiska w przydrożnym rowie. Ponieważ przewaga liczebna Niemców była znaczna i byli "uzbrojeni po zęby", patrol Szczepańskiego wycofał się, ale Niemcy dotarli do miejsca katastrofy dopiero nad ranem, przebywając odcinek 6,5 km w ciągu 7 godzin czyli z szybkością 1 km/godz.

Ostrzelanie Niemców i robotników spowodowało, że na miejsce katastrofy przyjechał pociąg pancerny i przez 3 doby ubezpieczał naprawę toru i prace związane z usuwaniem wraków wykolejonego pociągu.

Za przeprowadzoną akcję ppor. Wł. Motylewicz został odznaczony w dniu 11.XI.1943r. Krzyżem Walecznych.

Dla naświetlenia sytuacji w jakiej akcję przeprowadzono muszę dodać, że był to już okres w którym pierwsze bandy z Wołynia dotarły w nasze strony i zaczęły mordować i rabować konieczne im do wyżywienia krowy, konie, świnie, zboże, a nawet pieniądze. Napady na polskie wieś stawały się zjawiskiem coraz bardziej powszechnym i były coraz lepiej zorganizowane. Mordy były też coraz bardziej okrutne, a ofiary tak potwornie zmasakrowane, że były rozpoznawane jedynie po znakach szczególnych na ciele lub na ubraniu. Do wykrytych w tym czasie i to z dużym opóźnieniem należą: zamordowanie w Trościańcu leśniczego p. Sli-

wińskiego, w kilka dni później chłopca z Dryszczowa, gońca z plutonu "Brzoza", który na krótko przed śmiercią był u mnie, a po powrocie do domu został wywołany przez Ukraińców i gdzieś zamordowany.

Potwornie zmasakrowaną ofiarą band UPA był też ksiądz Biliński z Kotowa, gdy wyjechał w jakiejś sprawie na rowerze poza wieś i wiele wiele innych. Poruszanie się naszych patroli poza wioskami, w lasach, nie należało do bezpiecznych i wymagało właściwego przygotowania pod każdym względem.

Niedoszące zrzuty broni

W połowie sierpnia 1943r. zostałem wezwany do Tarnopola na odprawę w sprawie zrzutów. W wyznaczonym dniu nie mogłem się jednak dostać z powodu przerwy w komunikacji, spowodowanej wykolejeniem pociągu przez nasze oddziały. W efekcie dotarłem do Tarnopola dopiero na trzeci dzień i to pociągiem uruchomionym na tej linii tylko na odcinku Potutory-Tarnopol. Na odbiór zrzutów wyznaczono mi teren między lasami na wschód od Urmania i na północ zachód od Koniuch. Teren do zrzutów był idealny - tak wynikało z mapy; ale dla nas do zrzutów się nie nadawał zupełnie, gdyż był otoczony ukraińskimi wioskami, a do najbliższego naszego oddziału tj. do Buszcza, odległość wynosiła 18 km. Do miejsca zrzutu można też było dojechać jedynie przez ukraińskie wioski. Innej drogi ni było.

Wobec tego wybrałem teren między lasami koło Huciska, a zapasowy koło Nadorożniowa. Teren ten przeglądałem, a całą organizację i sposób odbioru zrzutów omówiłem z dowódcą 2 kompanii Wł. Motylewiczem. Plan tego terenu opracował podchor. Szemelowski i został on też wraz z tym planem wysłany do Tarnopola dla ostatecznego uzgodnienia. Wkrótce przyjechał też z Obszaru Lwów odpowiedzialny za zrzuty oficer, oglądał teren, zabezpieczenia itp. i uznał wybrane miejsce za nadające się do zrzutów.

I znowu stanęły przed nami, a specjalnie przed dowódcą 2 kompanii Motylewiczem, nowe zadania. Trzeba było bowiem wszystko przygotować do odbioru zrzutów. Do nasłuchu o wyjściu samolotów otrzymaliśmy amerykański aparat radiowy wielkości kasety, na słuchawki. Ponieważ ten aparat mógł zawieść, konieczny był drugi, bateryjny aparat radiowy. W czasie rozmowy na ten temat oświadczył mi nagle Motylewicz, że jest taki na folwarku w Kurzanach i że jak trzeba, to on się o niego postara. Uzgodniliśmy od razu wstępnie tą akcją i to, że należy ją przeprowadzić tak aby podejrzenie padło na Ukraińców i nadaliśmy jej kryptonim "Liegenschaft".

Folwark w Kurzanach, przywłaszczony sobie przez Kreishauptmanna i Landrata, znajdował się w odległości ok. 800m od wioski i zarządca w obawie przed ewentualnym napadem, wyjeżdżał na noc do Demni, a to było bardzo korzystne dla naszej sprawy.

Akcja "Liegenschaft"

W m-cu października 1943r. na ten folwark naprawdę napadli Ukraińcy, zabrali kilka krów, koni, trochę zboża i znikli. Gdy o tym napadzie został powiadomiony podporucznik Motylewicz przez d-cę drużyny z Pawłowa, pracującego na tym folwarku, wykorzystał to bezzwłocznie. Wziął ze sobą trzech ludzi: Grzegorza Łuźnego, Bronisława Tracza i jego sąsiada Ignacego Martynowicza. Szybko podeszli pod folwark i wykorzystując to, że ludzie jeszcze nie powrócili na folwark i pozostawali przestraszeni w ukryciu, zabrali trzy aparaty radiowe, pieniądze z kasy i aparat telefoniczny. W drodze powrotnej ppor. Motylewicz poprowadził patrol w kierunku ukraińskiej wsi Wólka, niedaleko której porzucili aparat telefoniczny, aby w tym kierunku skierować pościg; po czym idąc już w kierunku Huciska wszedł z patrolem do rzeczki dla zmylenia psów gończych. Następnie skierował się z patrolem koło wsi Honoratówka do lasu i lasem doszedł do Demni.

Rano przyjechała żandarmeria i Kripo z psami gończymi. Psy poszły śladem w kierunku na Wólkę. Gdy po drodze znaleziono aparat tele-

foniczny. Niemcy prawdopodobnie doszli do wniosku, że napadu dokonali Ukraińcy, gdyż nie przeszukali polskich domów i wszystko skończyło się dzięki temu dobrze. Aparaty narazie bezpieczne, pozostały w rejonie kompanii. Jeden aparat bateryjny został w Demni, drugi zainstalowano w Hucisku i słuchano odtąd komunikatów radiowych z zagranicy. Sieciowy, trzeci aparat radiowy, postanowiliśmy przetransportować do Brzeżan. Zadanie przewiezienia go do miasta otrzymał żołnierz konspiracji Witold Rapf, który pracował w domu towarowym "Undtutsch" jako zaopatrzeniowiec, często przejeżdżał samochodem ciężarowym przez Demnię do Rohatyna po towar, a więc mógł to stosunkowo łatwo wykonać.

W m-cu listopadzie 1943r., zgodnie z rozkazem, wstąpił w drodze powrotnej do Demni pod wskazany adres, wziął opakowany w worek aparat radiowy i umieścił go na skrzyni samochodu, między paczkami przewożonego towaru. Gdy minęli już miejscowość Kurzany, niedaleko rozdroża na Rohaczyn, zatrzymało samochód dwóch żandarmów, żądając przewiezienia ich do Brzeżan.

Nie można było odmówić im tej przyjemności i gdy jeden ulokował się w kabinie szoferki, drugi rozsiadł się wraz z Rapfem na paczkach przewożonego towaru, wśród których znajdował się poszukiwany przez Niemców aparat radiowy.

Z "duszą na ramieniu" jechał więc nasz mimowolny bohater obok młodego żandarma i myślał tylko o tym, aby nie zachciało się żandarmowi zainteresować się ładunkiem jaki wiezie. Ale na szczęście wszystko skończyło się na strachu. W Brzeżanach żandarmi wysiedli, a uszczęśliwieni tym chłopcy, szybko ruszyli w stronę garażu, gdzie mieli ukryć przewożony aparat. Tu jednak znowu pech. Garaż był już zamknięty i aparat trzeba było wziąć na plecy, przenieść ulicami miasta do domu i tam ukryć gdzieś na strychu. Nie mając wyboru, dokonał Witold Rapf i tej sztuki i też na szczęście szczęśliwie.

Na drugi dzień zgłosił swemu dowódcy ppor. Orkowi Koszykowi wykonanie zadania i opisał przygody jakie temu towarzyszyły. Aby miał pełną satysfakcję otrzymał jeszcze dodatkowe zadanie przetransportowania aparatu do klasztoru OO Bernardynów, gdzie miał zostać zabezpieczony i służyć do słuchania komunikatów z frontów, a był to duży 5-lampowy aparat "Philips".

Służył nam jako poważne źródło informacji aż do końca konspiracji. Nie otrzymaliśmy jednak ani jednego zrzutu broni, ale dzięki tej akcji zdobyliśmy aż trzy aparaty radiowe, które również bardzo się nam przydały.

Akcja "Urlaubzug" /Szkic nr 1./

Zgodnie z rozkazem naszych Władz konspiracyjnych, wszelkiego rodzaju dywersje należało realizować jak najbliżej skupisk ukraińskich, aby podejrzenie nie padało na Polaków i aby tym samym Niemcy, nie stosowali wobec Polaków żadnych represji. Trzeba przyznać, że Niemcy faworyzowali Ukraińców, jak gdyby nie zwracali uwagi na działające prawie oficjalnie ukraińskie bojówki. Toteż drobne akcje sabotażowe przeprowadzaliśmy możliwie najdalej od miasta. W m-cu października 1943r. na szosie Brzeżany-Lwów w lesie pod Narajowem i podobnie na szosie Brzeżany-Tarnopol przerwaliśmy linie telefoniczne i ścięli słupy na dość długim odcinku.

Dnia 6 listopada 1943r. przeprowadziliśmy akcję na linii kolejowej Chodorów-Podwysokie niedaleko stacji Żółczów. Zadanie wykolejenia pociągu otrzymał d-ca patrolu Kedywu z Łopusznej, plut. Julian Malinowski ps. "Czek". W skład tego patrolu wchodził: z-ca d-cy Bronisław Diaków ps. "Bak" oraz żołnierze: Kazimierz Zeraiczny ps. "Oko", Adolf Kunigsberg i Kozirowski. Akcja ta miała być przeprowadzona w połowie listopada. Łącznie z pojawieniem się band UPA w lasach powiatu Rohatyn, postanowiliśmy dla zmylenia Niemców przeprowadzić tę akcję w terminie wcześniejszym.


Według informacji pracowników kolejowych zatrudnionych na linii Podwysokie-Tarnopol, raz w tygodniu i to w piątki o godz. 1³⁰ kursował niemiecki pociąg urlopowy tzw. "Urlaubzug". Na niego padł wybór.

Skala 1:50 000

I - akcja „urlaubzug”

II - akcja „nafta”

III - akcja „zasadzka”

 - miejsce zrzutów

 - trasa marszu



II/536

© ARCHIWUM WSPÓDZIE

W podanym wyżej dniu, dowódca patrolu zarządził zbiórkę na godz. 23⁰⁰ u siebie w domu, skąd po omówieniu akcji i pobraniu sprzętu, ruszyli na miejsce akcji. Poszli brzegiem rzeki Narajówka, przeszli pod mostem kolejowym w kierunku Lipicy Dolnej i dalej przez las w pobliże miejsca akcji, gdzie tor skręcał na kształt litery "C" wznosząc się od Podwysokiego aż do Żółczowa lekko w górę. Tu d-ca patrolu wybrał miejsce wykolejenia w dość głębokim wykopie, około 3,5 km od stacji Podwysokie. Dłuższy czas szukano styku, do którego pasowałyby przyniesione klucze. Gdy już kończono rozluźnianie szyn /śrub i haków/, od strony Podwysokiego nadjechał pociąg z cywilami. Na szczęście rozluźniony tor wytrzymał i pociąg szczęśliwie przejechał.

Gdy tylko chłopcy zobaczyli czerwone, tylne światła, natychmiast przystąpili do rozkręcania szyn i odsunięcia jednej z nich na bok. Po wykonaniu prac ruszył patrol biegiem w kierunku Lipicy Górnej, gdzie w pobliżu wiejskich zabudowań, dla zmylenia śladów, zostawili jeden kł. Przez nikogo nie zauważeni wrócili szczęśliwie, możliwie najkrótszą drogą do Łopusznej.

Jak się później dowiedzieli od kolejarzy, niemiecki "Urlaubzug" z oficerami i żołnierzami jadącymi z urlopu, wjechał na uszkodzone miejsce na torze i wykoleił się. Katastrofa była okropna, jakiej nikt się nie spodziewał. Parowóz zjechał do ścieku i przewrócił się w poprzek toru. Jadąca za parowozem cysterna rozbiła się i wybuchła. Druga lokomotywa pchała w dalszym ciągu wagony w ogień i te wraz z ludźmi stanęły w płomieniach. Siedem wagonów spłonęło i z nich cztery pozostawiono jako nie nadające się do naprawy. Trzy dalsze odciągnięte do Potutor były również poważnie uszkodzone.

Według relacji lekarzy ściągniętych z Brzeżan i świadków, którzy brali udział w akcji ratunkowej, w katastrofie zginęło 16 oficerów i 26 żołnierzy i podoficerów. Czterdziestu żołnierzy było ciężko rannych i kilkudziesięciu lżej. Zabici zostali pochowani w Brzeżanach koło klasztoru. Komunikacja została przerwana na przeciąg 36 godzin. Była to więc akcja bardzo udana i mobilizująca inne patrole do podobnych wyczynów.

Zbrodnie Ukraińskiej Powstańczej Armii /UPA/

Już od lata 1943r. Ukraińcy przechodzili szkolenie wojskowe w karpackich lasach i większych lasach na terenie naszego powiatu. Cała ukraińska młodzież, bez wyjątku, musiała należeć do UPA. Powoływana była na kilka miesięcy na ćwiczenia do lasu, gdzie były budowane ziemianki i magazyny żywnościowe, w których gromadzono artykuły żywnościowe pochodzące m.i. z rabunku polskiej ludności. Wieś ukraińska również bez najmniejszego oporu oddawała wszystko czego zażądała UPA.

Nie mogliśmy zrozumieć jaki cel mają w tym, że współpracują z Niemcami, mordują Polaków i Żydów w czasie, gdy wojna toczy się już na Ukrainie i spodziewać się należy, że wojska radzieckie przyjdą najpóźniej za parę miesięcy. Było to bardzo na rękę Niemcom i dlatego też patrzyli na ukraińskie ekscesy przychylnie.

Od m-ca października 1943r. bandy UPA coraz częściej zaczęły napaść na polskie wsie. Zabójstwa i rabunki mamy na porządku dziennym. Pierwszym większym napadzie, jaki miał miejsce na wieś Szumlany, napadli Ukraińcy kilka gospodarstw i wprowadzili 6-ciu mężczyzn, których gdzieś zamordowali.

Drugi większy napad, to napad na wieś Buszcze. Była to wieś w większości zamieszkała przez Polaków. Znajdował się tam najstarszy w powiecie kościół obwarowany murami obronnymi, który w XIIw. stawił zbrojny pór tatarskim hordom. Dawał on schronienie miejscowej ludności przez wieki. Nie zawiódłby i tym razem, ale przewidzieli to chyba Ukraińcy i przygotowali podstępny napad.

W wiosce tej mieścił się posterunek ukraińskiej milicji i w stałej służbie był 1 żandarm. W dniu napadu, do każdego prawie ukraińskiego domu wszedł jeden lub kilku nawet młodych mężczyzn, a byli to uzbrojeni członkowie UPA. Wieczorem, na sygnał dany rakieta, wybiegli ci co byli w wiosce, a ci zebrani w zagajniku pod wioską zaatakowali, każdy z góryznaczony cel. Zaskoczenie mieszkających tam Polaków było całkowite.



Dr Stefan Biliński, kapitan W.P., długoletni ordynator szpitala powiatowego w Brzeżanach, jeden z pierwszych członków konspiracji, ofiara skrytobójczego mordu.

Został zabity przez zamachowca z ukraińskiej UPA, gdy na jego fałszywe wezwanie poszedł za nią, aby udzielić pomocy jego ciężko choremu dziecku.



Pogrzeb doktora Stefana Bilińskiego zamordowanego przez Ukraińską Powstańczą Armię. Na trumnie wieniec z biało-czerwonymi szarfami i czapka kapitana Wojsk Polskich. Trumnę noszą żołnierze AK: por. Zygfryd Szynalski, ppor. Kamiński, podchorążowie Witold Rapf, Jerzy Malawski, Stanisław Wierzbicki i Michał Nowakowski.

Obronili się tylko ci co mieli broń przy sobie. Zginęło wtedy 28 mieszkańców Polaków i spłonęło kilka gospodarstw.

Milicja ukraińska nawet nie wyszła z posterunku. Od tego dnia Polacy na każdą noc chronili się już w miejscowym kościele, gdzie zorganizowano samoobronę. Z nadejściem zimy, ludność Buszcza zmuszona była jednak opuścić wieś i zamieszkać w Brzeżanach.

W miarę jak zbliżał się front, bandy UPA atakowały coraz częściej w związku z krwawym napadem na Szumlany i Buszcze, przygotowaliśmy odwet na wieś Wierzbów, która sąsiaduje z w/w i z której to wsi Ukraińcy brali udział w obu napadach. W dniu, w którym nasz oddział w sile 50 ludzi miał wykonać tę akcję, nasze Władze odwołały ją, stojąc na stanowisku, że wzajemne wyrzynanie się nie ma najmniejszego sensu.

Ale bandy UPA nie ustawały w mordach. W ciągu kilku dni nastąpiły jeden po drugim napady rozwydrzonych Ukraińców:

- na Zapust Lwowski, gdzie zginęło 54 mieszkańców, a wieś została całkowicie spalona,
- na wieś Wolice, gdzie zginęło 30 ludzi,
- na wieś Kuropatniki, gdzie zamordowano 38 osób i spalono kilkadziesiąt gospodarstw,
- na wieś Hutę, gdzie zabito 30 osób i spalono całą wieś,
- na wieś Budyłów, gdzie straciło życie 7 osób itd.

W tym też czasie UPA wydała rozkaz obowiązujący wszystkich Ukraińców do wymordowywania, w rodzinach mieszanych, członków narodowości polskiej. Zgodnie z tym rozkazem: Mąż Ukrainiec miał zabić swoją żonę i córki Polki, a żona Ukrainka miała zabić swego męża i synów Polaków, chociaż była ich matką. Zaczęły już krążyć plotki, że Ukraińcy zastosowali się do tego rozkazu, ale nie była to prawda. Na terenie powiatu zdarzył się tylko jeden taki wypadek w Podwysokim. Ukrainiec Hryciów miał syna, który ożenił się z Polką z d. Rybczyńską, prawdopodobnie wbrew jego woli. W 1940r. młody został powołany do wojska radzieckiego, a jego żona wróciła na ten czas do domu swoich rodziców w sąsiedniej wsi. Najgorszym jej przestępstwem było to, że wychowywała swoich dzieci w wierze rzymsko-katolickiej, co w naszych stronach równało się z przyznawaniem się jedynie do polskości, bo rzymsko-katolik = Polak, a greko-katolik = Ukrainiec. Ponieważ po mężu, a więc po ojcu, synowie powinni być greko-katolikami czyli Ukraińcami, kazał wyrodny dziadek zamordować swoją synową i jej 5-letnią córeczkę, a wnuka zabrał do siebie na "właściwe" wychowanie.

Zbrodniarze UPA zaczęli przenikać nawet do miasta, pomimo obecności żandarmerii, milicji ukraińskiej i wojskowego garnizonu. Został wtedy, a było to w lutym 1944r., zabity dyrektor szpitala dr Stefan Biliński. Mord ten nie był nikomu potrzebny, nawet banderowcom. Był on wprawdzie członkiem konspiracji od pierwszych dni jej zawiązania się, ale z racji swego stanowiska był stale w kontakcie z Niemcami i jego interwencje obroniły wielu ludzi przed wywózką na przymusowe roboty do Niemiec. Wydawał on zainteresowanym zaświadczenia o zachorowaniu na gruźlicę, co zwalniało z obowiązku pracy w Niemczech nawet tych, którzy przyjeżdżali stamtąd na urlop. Nie musieli już wracać.

Prawdopodobnie jego działalność nie podobała się Ukraińcom, chociaż nie odmawiał swojej pomocy ludności ukraińskiej. Pomagał wszystkim bez względu na narodowość i to też było przyczyną jego śmierci.

Według relacji przypadkowego przechodnia, który słyszał część rozmowy między banderowskim zamachowcem, a drem Bilińskim, czekający na niego banderowiec poprosił, zmierzającego do szpitala lekarza, do bardzo ciężko chorego dziecka. Dr Biliński naturalnie nie odmówił i gdy tylko weszli za dom p. Piechockich i nie byli widziani z ulicy, Ukrainiec strzelił i zabił śpieszącego mu z pomocą człowieka.

Wypadek ten poruszył całe społeczeństwo miasta. Ogólnie domagano się odwetu na którymś z ukraińskich przywódców, ale nasze Władze i w tym wypadku sprzeciwiły się w obawie przed rozpętaniem walk na jeszcze większą skalę.

A oto i jedno ze źródeł zbrodni UPA. Przypadkowo uzyskaliśmy informację, która w normalnych warunkach była dla nas nieosiągalna.

W pierwszych dniach marca 1944r., z Brzeżan w kierunku Kurzan,

Jechał sam jakiś Ukraińiec, a z przeciwnej strony nadeszło dwóch naszych chłopców, których prawdopodobnie znał i zląkł się. Żle prowadził konie, przewrócił sanie na zaspie i spod siedzenia wypadła jakaś paczka. Wykorzystali okazję chłopcy i przejęli paczkę, a przeżony Ukraińiec zaciął konie i uciekając dosłownie, szybko odjechał. Okazało się później, że był to łącznik UPA, który przewoził ogólny rozkaz UPA nawołujący do mordowania ludności polskiej, a co dla nas najważniejsze, plan napadu na przedmieście Brzeżan nazywane Adamówką.

Ponieważ Adamówka były w dużym procencie zamieszkała przez Ukraińców, plan ten obejmował wszystkie domy, które miały być objęte tą akcją. Domy rodzin mieszanych oznaczone były w połowie obwódką niebieską, a w połowie czerwoną i zawierały obok dodatkowe informacje dotyczące ilości osób narodowości polskiej / "M" - mąż i synowie Polacy, koloru czerwonego lun znak "Ż" - oznaczający: żona i córki Ukraińki, koloru niebieskiego/.

Ogólny rozkaz dowództwa UPA głosił:

1/ do dnia 25 lutego 1944r. wójtowie gmin mają przeprowadzić spis mężczyzn Ukraińców w wieku od 18 do 55 lat. Wszystkich tych mężczyzn postawić w pogotowie mobilizacyjne - mają czekać na dalszy rozkaz; 2/ do dnia 28 lutego wszyscy robotnicy fachowcy, mają przenosić się z miasta na wieś; 3/ projektuje się napady na miasta w biały dzień, a nie w nocy. W związku z tym ludności ukraińskiej w mieście zostaną wyznaczone miejsce, w którym ma się zgrupować w czasie napadu; 4/ w związku z sukcesami bolszewików należy przyspieszyć likwidację Polaków, wycinać w pień czysto polskie wsie i palić, we wsiach mieszanych niszczyć tylko ludność polską. Zagrody polskie palić tylko w takim przypadku, jeżeli są oddalone od zagród ukraińskich co najmniej 15m; 5/ za zamordowanie jednego Ukraińca czy przez Polaka czy przez Niemca - rozstrzelać 100 Polaków; 6/ prowadzić wywiad wśród Polaków, badać siłę oporu i stopień uzbrojenia. Do wywiadu używać kalek i dzieci; 7/ przygotować w lasach rowy strzeleckie, gromadzić w nich słomę; 8/ gromadzić środki opatrunkowe i worki; 9/ gromadzić naftę i benzynę. Wieśniacy mają oddać 50% nafty otrzymanej jako premię za odstawione kontyngenty; 10/ w czasie napadu na miasta uwalniać więźniów; 11/ gdy podczas mordowania Polaków przez pomyłkę zostanie zabity Ukraińiec - sprawca karany będzie śmiercią; 12/ sporządzić listę volksdeutschów; 13/ zlikwidować niemieckich konfidentów; 14/ zdawać wyznaczony kontyngent na rzecz UPA; Hasło: "Nasza nicz, nasz lis" /Nasza noc, nasz las

Wiadomość o planowanym napadzie na Brzeżany oraz przechwycony ogólny rozkaz UPA przekazałem natychmiast przez Komendanta Inspektoratu do Okręgu, a sami przystąpiliśmy intensywnie do przygotowania samoobrony. Wyznaczyliśmy domy i dzielnice, w których miała się chronić polska ludność i w miejscach tych gromadziliśmy broń i inne środki obrony. Wyznaczono też posterunki alarmowe i środki alarmowania. Na d-cę obrony wyznaczyłem por. Z. Szyński.

W m-cu marca wojska radzieckie podeszły pod Tarnopol i niespodzianym atakiem zajęły miasto. Na drugi dzień Niemcy wykonali przeciw uderzenie i odrzucili wojska radzieckie zajmując ponownie Tarnopol. W kilka dni później wojska radzieckie okrążyły Tarnopol i zamknęły w kotle trzy niemieckie dywizje, a patrole radzieckie podeszły aż do Kozowy na odległość 16 km od Brzeżan.

Niemcy uciekli z Brzeżan i tylko od czasu do czasu pokazywał się w mieście niemiecki patrol.

23 marca w nocy zauwazyliśmy łunę. Na podstawie mapy i busoli zorientowałem się, że pali się Hucisko. Bardzo nas to zaniepokoiło, gdyż był to Ośrodek Samoobrony i tam miała się ewakuować ludność z pobliskich, zagrożonych miejscowości. Już na drugi dzień rano otrzymałem informację, na szczęście nieprawdziwą, że był napad na Hucisko i że cała wieś spalona. Wiadomość ta pochodziła od chłopca, któremu udało się uciec na koniu. Twierdził on też, że cała wieś wyrżnięta. W tym dniu przyjechał do mnie d-ca 2 kompanii ppor. Wł. Motylewicz, a była to nie dziela. Analizując tą wiadomość doszliśmy do wniosku, że wiadomość ta nie może być prawdziwa, gdyż w tym rejonie mamy dobrze uzbrojoną kom-

panię czuwającą w każdą noc. Decyduje się więc Motylewicz jechać natychmiast do Huciska, aby całą rzecz sprawdzić i ustalić sytuację na miejscu.

Aby się dostać do Huciska, trzeba jednak jechać aż 4 km przez las a przecież tam łatwo spotkać się z bandami UPA. Postanawia więc Motylewicz, że pojedzie drogą, przez ukraińskie wsie: Raj, Kurmankę do Huciska.

Po odjeździe Motylewicza, ok. godz. 11-tej zauważono w okolicy Rury, w odległości ok. 800m od miasta, bandę UPA. Wobec tego zebraliśmy się w Inspektoracie i po krótkiej naradzie wydałem rozkaz ewakuacji przedmieść, pozostawiając tam tylko placówki, które w razie napadu miały zapalić przygotowane w tym celu kopki słomy. Na widok tych ognióz wieży klasztornej miał być ogłoszony alarm - dzwonem.

Przepędzenie ukraińskiej milicji z Adamówki

Nie wszyscy Polacy mieszkający na przedmieściach opuścili swe domy. Dość późnym wieczorem, w drugim dniu "bezkrólewia", patrol "Barskich" pełniący służbę wartowniczą w domu p. Politewiczowej i p. Ciołków zauważył ożywiony ruch wśród mieszkających w okolicy Polaków. Nieczekiwanie wszyscy zaczęli opuszczać swe domy i uciekać w kierunku miasta.

Wysłany na zwiad wnuk p. Politewiczowej, Tadeusz, szybko powrócił z wiadomością, że w jednym ukraińskim domostwie zbiera się duża grupa ukraińskiej milicji. Ma to miejsce w niewielkiej odległości od naszych placówek, bo tuż za wiaduktem widocznym z okien i odległym od placówek ok. 100m. Najgorsze, że nie wiadomo w jakim celu zbierała się tam milicja, a w mieście nie było ani jednego Niemca. Po krótkiej naradzie, ponieważ nie było czasu na porozumienie się z dowództwem Obwodu czy Kedywu, dowódca patrolu Zbigniew Froński ps. "Barski II" zdecydował, że pójdą tam i podejść otwarcie, ale w niemieckich mundurach, pod to gospodarstwo i spróbują wyjaśnić sytuację. W tym celu, nie mając jednakowych mundurów, ale było ciemno: Zbigniew Froński "Barski II" przebrał się za leutnanta Schupo, Władysław Walczyszyn "Barski I" za feldfebla Wehrmachtu, a pozostali dwaj tj. Adolf Podhajcki i Tadeusz Jerzycki /"Barski III i IV"/ za szeregowych wehrmachtowców.

W ostatniej chwili zdecydowano, że pod gospodarstwo podejść tylko dwóch tj. "Barski II" jako znający język niemiecki i "Barski I" jako szarżant, a "Barski III" i "Barski IV" zajmą stanowisko na wiadukcie i oświetlą w odpowiednim momencie podwórko reflektorem, tj. gdy dwaj pierwsi rozpoczną indagację w sprawie tej dziwnej zbiórki. W pewnym momencie, gdy "III" i "IV" zajęli już swe pozycje a było to ok. 4m ponad i w odległości ok. 10 m od miejsca zbiórki milicji, do akcji wkroczyli "I" i "II". Gdy podeszli pod bramę wjazdową na interesujące ich podwórko, "Barski II" natarł głośno, jak to czynili Niemcy, na stojącego w bramie wartownika: - "Was soll so was bedeuten. Was macht Ihr ja den da? Es ist doch polzeistunde" itd. Tłumacząc: "Co to ma znaczyć? Co wy tu robicie? To przecież policyjna godzina"/itd., a w tym czasie "Barski III" błysnął reflektorem z wiaduktu. Skutek był piorunujący. Przerażony wartownik zaczął coś bełkotać po niemiecku wzywając na ratunek komendanta, który jak się okazało, też na szczęście nie znał niemieckiego. To umocniło tylko "Barskiego II" i członków patrolu. Nakazał też "Barski II" natychmiastowe opuszczenie miejsca zbiórki przez wszystkich tam zebranych milicjantów.

"Wydyte ludy. Ne znaju zwidki wzialysia Nimci, ale nema szczo, musymo wertaty" /"Widzicie ludzie. Nie wiem skąd się wzięli Niemcy, ale nie ma co, musimy wracać"/. I rzeczywiście rozkaz tego jakiegoś komendanta odniósł natychmiastowy skutek. Wszyscy rzucili się do koni



Dowódca patrolu "Barskich" Zbigniew Froński ps. "Barski II"

i zaczęli wyjeżdżać, a usprawniał całość wspaniale sterujący reflektorem "Barski III", niezawodny w takich sytuacjach. Po kilku minutach było już po wszystkim i zadowoleni z siebie żołnierze patrolu powrócili na wartownię. Trochę się bali, że zostaną skarceni za samowolę. Ale było odwrotnie.

Do dziś nie wiemy jaki był cel tej zbiórki banderowców w milicyjnych mundurach. Może to miało jakiś związek z planem wymordowania Adama Mówki. Nie wiadomo. Dodać tu muszę, że uzbrojenie patrolu składało się z 1 pistoletu maszynowego niemieckiego "MP 40", 1 pistoletu maszynowego radzieckiego "PPS 41", 1 karabinu automatycznego radzieckiego typu "SWT 40" i 1 karabinu ręcznego niemieckiego typu "Mauser" w czasie, gdy prawie wszyscy Ukraińcy mieli karabiny i pistolety. Siły nie były więc równe, ale dzięki zaskoczeniu wszystko skończyło się dobrze.

Zwolna powrócili też do swych domów przestraszeni jeszcze Polacy. Zwolna powracał też spokój i dalej toczyło się życie swym nienaturalnym, nerwowym rytmem.

A jak wyglądał napad na Hucisko?

Ukraińcy napadli na wieś ok. godz. 3-ciej nad ranem, gdy czuwający niczego już się nie spodziewali i byli nieco znużeni i senni. Obrona wsi była tej nocy zorganizowana następująco: kobiety i dzieci były zebrane w szkole, 1/3 mężczyzn zdolnych do walki była na placówce 1/3 stanu była w pogotowiu, a 1/3 odpoczywała śpiąc w ubraniach. Banderowcy rozpoczęli atak podpalając rakietami kilka domów /stąd łuna/ i otworzyli ogień do wsi z broni maszynowej. Chwilowy popłoch został szybko opanowany przez st. sierż. Szczepańskiego, którego pluton szybko zajął swoje stanowiska i otworzył, do widocznych w świetle pożarów banderowców, ogień zaporowy z 3-lufowego ckm-u ukrytego w kopicy kukurydzianki i gotowego w każdej chwili do strzału. Taka odpowiedź musiała być też zaskoczeniem dla napastników. Atak załamał się, a ten czas wystarczył na wykonanie manewru 1 drużyną pod d-twem kpr. Augusta Szczepańskiego i otworzenie do nich ognia z flanki. Zginęło prawdopodobnie 5-ciu banderowców i kilkunastu zostało rannych. Pozostawili na placu boju: 1 lkm, kilka kb i sporo amunicji. Straty ze strony Huciska 3 zabitych i 12 domów spalonych.

Motylewicz, który dotarł do Huciska około południa, widząc rozpaczk poszkodowanych, wygłosił do nich krótkie przemówienie, przekonując, że tylko obroną i twardą postawą mogą uratować życie i wyjść z tego piekła obronną ręką.

W czasie tego zebrania banderowcy ponowili napad. Wywiązała się krótka, ale bardzo ostra walka. Banderowcy widząc zdecydowaną postawę wioskę zaczęli się wycofywać. Wtedy w ślad za nimi ruszył pościg, który z ochotniczym oddziałem zorganizował ppor. Wł. Motylewicz. Pędził ich aż do sąsiedniej wsi, w której się ukryli.

Podniosło to na duchu obrońców Huciska, którzy od tego dnia nie zawsze czekali na napad i sami organizowali patrole i podchodzili pod ukraińskie wsie: Mieczyszczów, Lipicę, Młynarskie Osiedle, aż zmusili te wioski z kolei do zorganizowania samoobrony przed mszczącymi się Polakami.

Taka postawa Huciska podniosła na duchu ludzi z innych okolicznych wiosek i osłabiła, a nawet ostudziła zapał banderowców. Po kilku jeszcze porażkach pod Huciskiem, próbowali jeszcze banderowcy zlikwidować Łopuszną, ale bez powodzenia.

Nie mogąc nic wskórać bezpośrednim atakiem, dowództwo banderowskie włączyło do pomocy milicję ukraińską, która wykorzystując swoje uprawnienia wzywała pojedynczych mężczyzn na podwoły i oddawała ich w ręce banderowców, a może i sama likwidowała. Najwięcej zależało im na zlikwidowaniu samoobrony wsi i d-cy Juliana Malinowskiego, ale udało się im wyciągnąć poza wieś, na podwoły, tylko Michała Karczewicza, który jak tylko wyjechał ze wsi został zamordowany.

Obrona tych kilku wiosek była możliwa, gdyż dysponowały uzbrojonymi oddziałami i zdecydowanym dowództwem AK. Tam, gdzie oddziały AK nie były dostatecznie uzbrojone, ludność polska musiała opuszczać swo-

je wioski i ewakuować się tam, gdzie była zorganizowana obrona.

Sytuację Polaków skomplikowało jeszcze bardziej wejście w skład UBA w sierpniu 1944r. resztek dywizji SS "Galizien" rozbitej na froncie pod Brodami w lipcu 1944r. Dobrze uzbrojeni i umundurowani nacjonaliści ukraińscy mogli prawie bezkarnie mordować Polaków, ale co najważniejsze doszkalali oni i przez to podnosili wartość wojskową band, w których służyli.

Opisując zdarzenia na, nazwijmy to "ukraińskim froncie" posunęliśmy się mocno do przodu w czasie i aby dopełnić opis w wydarzenia na polu naszej działalności dywersyjnej w walce z Niemcami, musimy się cofnąć nieco w czasie.

Nie wiem czy udało mi się dość wyraźnie opisać grozę sytuacji w jakiej znaleźli się mieszkający na tzw. "Kresach wschodnich" Polacy i szatańską wprost organizację działającą tam maszyny eksterminacji Polaków i Żydów. Myślę jednak, że teraz gdy mamy prawie pełny obraz sytuacji Polaków, którzy znaleźli się nie przygotowani między miazdzący mi trybami tej maszyny, wszyscy będziemy zgodni co do tego, że najważniejsze było zorganizowanie samoobrony dla przetrwania.

Nie mniej ważnym było też to, aby związane z tym działania nie wywołały represji ze strony Niemców, gdyż jasnym jest chyba też to, że uruchomienie przeciwko sobie niemieckiej i ukraińskiej maszyny niszczenia, a połączyłyby one przeciw działaniom, doprowadziłoby do całkowitej tej eksterminacji Polaków.

Mimo to nie "staliśmy z bronią u nogi", jak się to nieraz słyszy. A jak wyglądały nasze działania wojskowe, a raczej dywersyjne, powiedziałem już coś niecoś opisując nasze działania organizacyjne i niektóre udane akcje. Ale to nie wszystko. Przeprowadziliśmy więcej akcji i o znacznie większym znaczeniu i spróbuję je też przedstawić w możliwie chronologicznym porządku.

Uruchamiamy radiostacje

Z końcem listopada 1943r. przyszło z dowództwa Obszaru zawiadomienie, że przyznano nam radiostację ze zrzutu z przeznaczeniem dla Inspektoratu. Należało szybko zorganizować akcję t.zn. możliwie bezpieczny transport. Musiał to zrobić ktoś kto nie zwraca specjalnej uwagi Niemców. Najlepiej do tego celu nadawały się kobiety.

Po zapoznaniu się ze sprawą podjęły się tego zadania ochotniczo: kurierka do Okręgu, która kilkakrotnie jeździła do Lwowa jako łączniczka i miała też ustalone kontakty, Wiktoria Kowalczyk ps."Hadiuga" i jej przyjaciółka Maria Szadaj ps."Szarotka". Ponieważ w tym czasie pogoda w naszych stronach jest brzydka, wieje silny, zimny wiatr i często pada deszcz ze śniegiem lub mokry śnieg, ulice były prawie wolne od Niemców, co sprzyjało sprawie. Postanowiono więc bezzwłocznie przystąpić do realizacji zadania.

Wyjechały więc obie w niewielkiej obstawie dwóch t.zw. "spekulantów": Zbigniewa Frońskiego ps."Barski II", hrata Marii Szadaj i Adolfa Podhajeckiego ps."Barski III". Bez specjalnych przygód dojechały do Lwowa i udały się pod wskazany adres.

Po przejęciu przez Wiktorię Kowalczyk przesyłki, pozostało tylko dostać się z tym piekielnie ciężkim bagażem do pociągu. Okazało się to nawet nie takie trudne, gdyż obu paniom śpieszył z nieproszoną pomocą i w tramwaju i na dworcu Łyczaków, jakiś niemiecki oficer, jak się później okazało, przebrany żołnierz AK, członek obstawy ze strony dowództwa Obszaru.

Całą drogę powrotną przebyły szczęśliwie nie widząc ani jednego Niemca w pobliżu, a w Brzeżanach pod dworcem kolejowym, pomimo szarugi, oczekiwał na nie w bryczce prof. Wiewiórski, który uwolnił je od kłopotliwego i bardzo ciężkiego ładunku.

W ten sposób staliśmy się posiadaczami cennego na te czasy sprzętu i już wkrótce radiostacja ta rozpoczęła pracę pod opieką Kol.Franciszka Wieczorka. Dla utrudnienia wykrycia pracowała ona w różnych p-ktach miasta, na peryferiach, a nawet w centrum.

Przez dłuższy czas wydawało się nam, że nie jest zauważona przez

Niemców, aż do momentu, który pragnę opisać. Gdy w mieście pojawiły się dwa niemieckie samochody z pelengatorami, domyśleliśmy się, że to nie przypadek lecz próby wykrycia naszej radiostacji. Dla większego utrudnienia wykrycia, niezależnie od zmiany miejsca pracy, rozpoczęliśmy nadawanie w różnych porach dnia i nocy.

Ponieważ nadawanie z miasta było coraz niebezpieczniejsze, przeniesiono ją dla nadania ważnego komunikatu poza miasto, do Rurysk, przydzielając równocześnie dodatkową ochronę przed banderowcami. Jak relacjonował później znany już z oryginalnych pomysłów i ryzykanckich niestety, Adolf Podhajecki ps. "Barski III", w czasie pracy radiostacji zaszła następująca sytuacja. Otóż, gdy stał na posterunku obserwując drogę od strony miasta, przy wjeździe na tą drogę, przy cmentarzu pojawił się kręcący namiernikiem niemiecki samochód i zatrzymał się przy wjeździe na otwarte pole między miastem, a lasem na skraju którego pracowała nasza radiostacja.

To, że samochód zatrzymał się i nie zbliżał, zdecydowało że nie zameldował o niebezpieczeństwie nie chcąc przerywać pracy radiostacji. Okazało się, że zrobił bardzo dobrze, bo niemiecki samochód stał nadal na miejscu i nie zbliżał się. Musiało się Niemcom wydawać, że nasi radiowcy czują się bezpiecznie skoro nie przerywają pracy, a przemawiała za tym śierna ściana lasu, w którym radiostacja pracowała. Nie czekali też zbyt długo i odjechali, a później okazało się, że drugi niemiecki wóz z pelengatorem namierzający od strony Adamówki, postąpił tak samo.

W tej sytuacji przeniesiono radiostację i ukryto w klasztorze, przerywając nadawanie na przeciąg kilku dni. Ostatecznie w obawie przed wykryciem nie nadawaliśmy od tej pory więcej jak jeden raz w jednym miejscu i nieregularnie co parę dni.

Coraz odważniejsze akcje dywersyjne

1. W m-cu styczniu 1944r. Ukraińcy napadli na niemiecki sklep w Kozowie, skąd zabrali skórę, materiały włókiennicze, koce, obuwie itp. rzeczy. W czasie akcji rozmawiali po polsku, aby skierować podejście na Polaków. Właściciela sklepu obsypali czerwoną farbą, towar spokojnie załadowali na furmankę i odjechali. Nie wiem czy to ci sami, choć wszystko wskazywałoby na to, że to ci sami, napadli jeszcze na folwark w Kozowie, gdzie pracowali i mieszkali Polacy. Tam wywiązała się walka i to ich zdradziło że są Ukraińcami. Na wieść o napadzie na niemiecki sklep, z Brzeżan wyruszył pościg w skład którego weszła żandarmeria, Kripo i Sonderdienst. W związku z wyjazdem z Brzeżan prawie wszystkich Niemców, d-ca Kedywu wysłał kilka patroli, które poprzerywały naokoło miasta linie telefoniczne na szosach: Brzeżany-Lwów, Brzeżany-Tarnopol, Brzeżany-Podhajce, Brzeżany-Rohatyn i na liniach kolejowych. Przez jakiś czas żandarmeria porozumiewała się tylko przy pomocy radia, co ułatwiało podsłuch. Duże zasy spowodowały, że Schupo przyjechało dopiero po dwóch dniach i niczego nie wykryła.

2. W tym też mniej więcej czasie patrol z 2 kompanii rozkręcił szyny na linii kolejowej Mieczyszczów-Potutory. Katastrofy jednak nie było, bo uszkodzenie wykryła drezyna tamtędy przejeżdżająca.

3. Dla przeprowadzenia akcji na linii kolejowej Krzywe-Kozowa, d-ca Kedywu wysłał na melinę do Kozowy kilkanaście butelek wybuchowych. Nieco później patrol z 3 kompanii przeprowadził akcję pod dowództwem por. Z. Szynalskiego z wiaduktu kolejowego na linii Kozowa-Litiatyn. Obrzucony przejeżdżający pociąg towarowy przygotowanymi uprzednio butelkami wybuchowymi, ale i tym razem akcja nie dała oczekiwanych rezultatów. Wagony były mocno osnieżone i nie zapaliły się. /Szkic nr 2/

Akcja wykolejenia transportu

/Szkic nr 3/

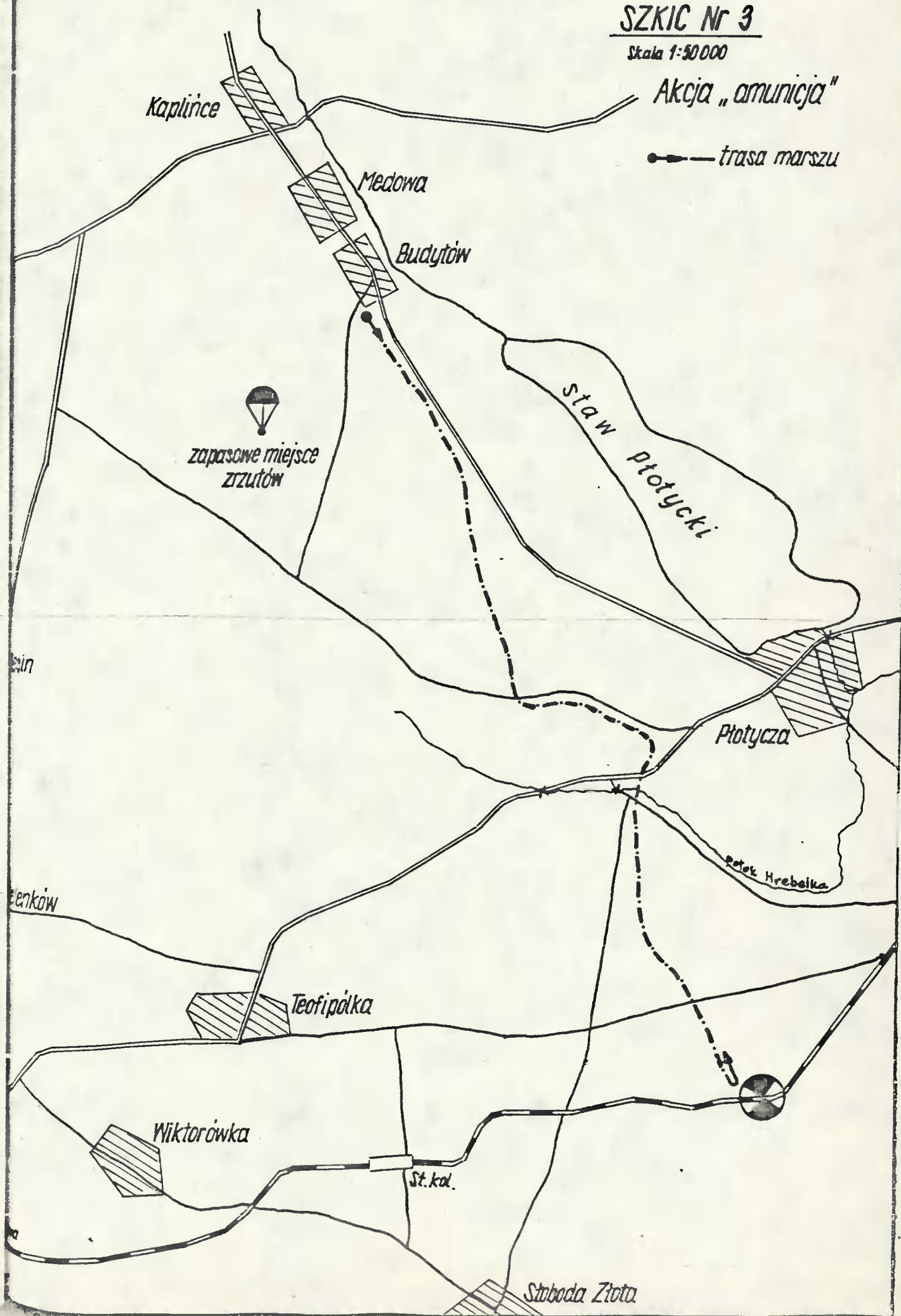
Przy końcu stycznia 1944r. otrzymaliśmy wiadomość, że linią kolejową Chodorów-Tarnopol przejeżdża dużo transportów ze sprzętem woj-skowym, bronią, amunicją i wojskiem. Postanowiliśmy więc przeprowadzić akcję na tej linii, tym bardziej, że żadnych akcji dywersyjnych tam jeszcze nie było. Na miejsce akcji wybraliśmy odcinek między stacjami

SZKIC Nr 3

Skala 1:50000

Akcja „amunicja”

— trasa marszu



Złota-Słoboda-Denysów-Kopyczyńce, na linii Potutory-Tarnopol w odległości ok. 30 km od Brzeżan. Nie zwlekając wybrał się tam por. Z. Szynalski, do wioski Budyłów. Do Kozowy dojechał ~~okazyjnym samochodem~~, a z Kozowy do Budyłowa odległość 20 km przebył pieszo, brnąc w głębokim śniegu przy 20° mrozie. Tam omówił akcję z d-cą 4 plutonu 4 kompanii Józefem Wojtusiem i tego samego jeszcze dnia o godz. 22-giej zebrał za wioską dwa patrole /drugi pod dowództwem kpr. Józefa Czuby/ i objął dowództwo całości. Oddziałek ten ruszył sałmi na przełaj przez pola w kierunku miejsca akcji, ale tu muszę dodać, że to już Podole i nigdzie nie ma nawet kępy krzaków dla ukrycia się. Minęli więc bokiem Kolonię Tryhubowa, przecięli szosę Brzeżany-Tarnopol, minęli od wschodniej strony Kolonię Płaska i wkrótce dojechali do toru kolejowego, biegnącego w tym miejscu po dość wąskim nasypie.

Po wystawieniu ubezpieczenia przystąpiono do rozkręcania szyn. Ponieważ nie mieli żadnych informacji dotyczących ruchu pociągów, całą pracę rozpoczęli w przypadkowym czasie. Nie byli też jeszcze gotowi i tor, choć poluzowany, trzymał się jeszcze mocno, gdy usłyszeli nadjeżdżający pociąg, a był to transport wojskowy i to dość duży. Szyny jednak wytrzymały i transport przejechał. Myślę, że nawet dobrze się stało, bo gdyby doszło do katastrofy to będące w otwartym polu patrole nie miałyby żadnej szansy ucieczki, a pociągnęłoby to za sobą represje w stosunku do ludności polskiej.

Gdy tylko transport przejechał, oddział przystąpił do dalszej pracy i po zwolnieniu szyny i odsunięciu na bok, patrol odjechał i nie zauważony przez nikogo wrócił do Budyłowa.

W/g informacji od pracowników kolei, na uszkodzony tor wjechał inny transport wojskowy i wykoleił się. Rozbita została lokomotywa, 4 wagony i trochę sprzętu wojskowego, a komunikacja została przerwana na 30 godzin.

Jak się później okazało, skutki wykolejenia transportu nie były takie małe, ponieważ pociąg jechał ze stosunkowo dużą szybkością. Andrzej Uchmanowicz zatrudniony tam jako operator ciągnika "Staliniec" przy usuwaniu rozbitych wagonów i sprzętu wojskowego opisuje to tak: "Gdy przyjechałem na miejsce było tam już mnóstwo ludzi, którzy przy pochodniach pracowali przy wyciąganiu niemieckich żołnierzy z rozbitych wagonów osobowych i rozładowywaniu poprzewracanych wagonów towarowych. Wykolejony transport był załadowany na 50 wagonach: kilku osobowych, kilku towarowych załadowanych mundurami, obuwaniem i amunicją, resztę stanowiły platformy z ciągnikami i tankietkami oraz 1 cysterna. Ramnych odwożono w kierunku szosy Brzeżany-Tarnopol, a mnie polecono ściągać przy pomocy "Stalinca" sprzęt z poprzewracanych wagonów i usuwać te wagony z toru. Wkrótce przyjechał też dźwig kolejowy i dość sprawnie usunął z toru lokomotywę i porozbijane wagony. Ja osobiście przez ok. 2 do by holowałem do stacji Złota Słoboda przyczepy z różnym sprzętem.

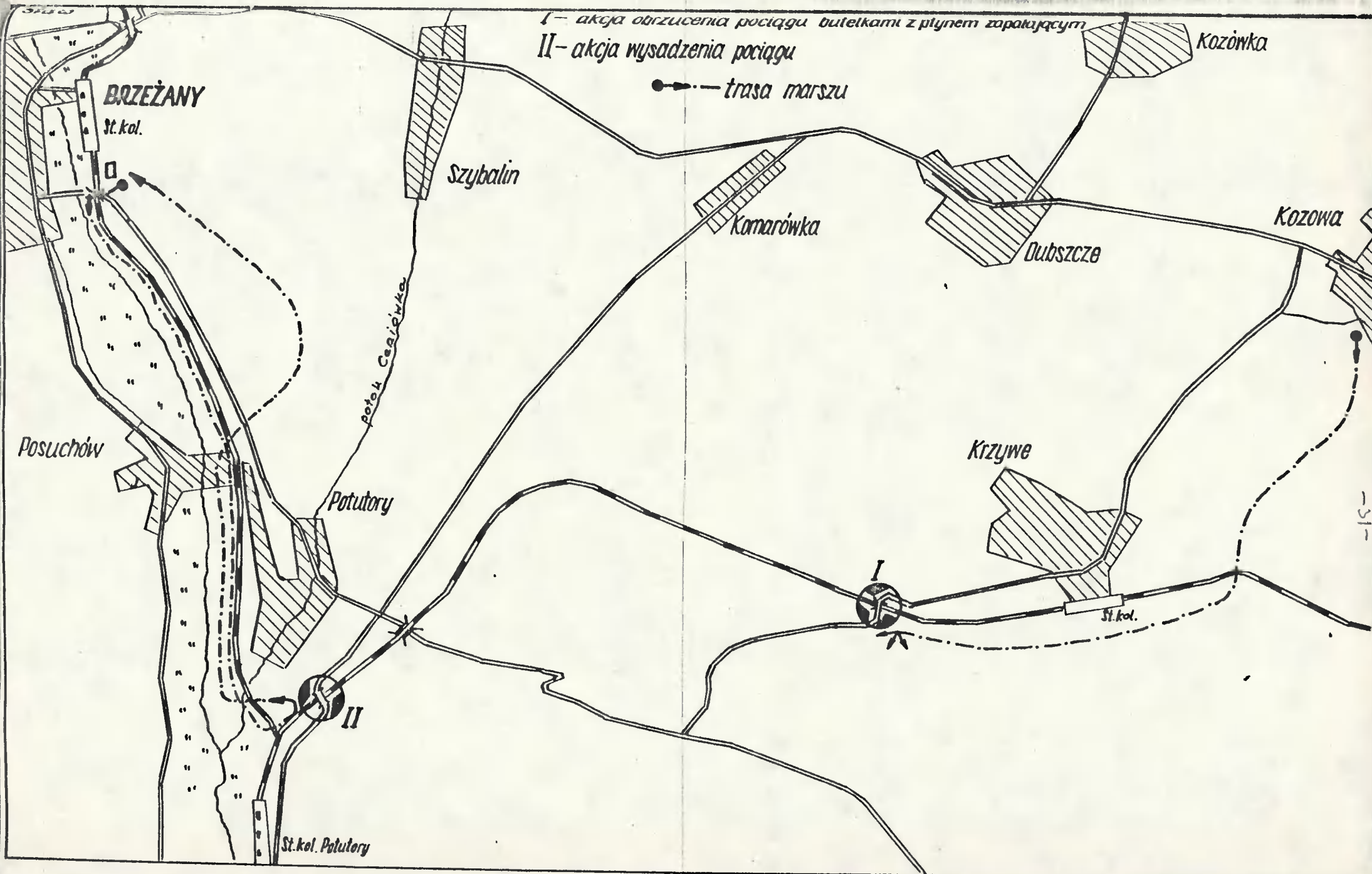
Część uszkodzonych wagonów i 1 lokomotywę zabrano do naprawy.

Na tej linii nieprzeprowadzaliśmy już więcej akcji na pociągi, gdyż Niemcy umieścili na wszystkich stacjach oddziały składające się nawet z kilkunastu żołnierzy, którzy patrolowali odcinki torów między stacjami w dzień i w nocy, a pociągi wojskowe były zabezpieczane albo puszczanymi w pierw pociągami z cywilami albo poprzedzane platformami z piaskiem, a poza tym, jak już wspomniałem, teren nie był odpowiedni do przeprowadzania takich akcji.

Akcja "Wiadukt" /Szkic nr 2/

Z końcem stycznia 1944r. lub z początkiem lutego Kedyw otrzymał rozkaz zorganizowania akcji wykolejenia pociągu wojskowego, przy czym należało to tak przeprowadzić i w takim miejscu, aby spowodować przerwę w ruchu kolejowym na jak najdłuższy czas dla utrudnienia dowozu wojska i sprzętu wojskowego na front wschodni.

Dowódca Kedywu por. Zygfryd Szynalski ps. "Tryk", po przeanalizowaniu zadania doszedł do wniosku, że akcję należy wykonać w głębokim wykopie i w miarę możliwości pod wiaduktem drogowym nad torami kolejowym i tak, aby lokomotywa po wykolejeniu znalazła się właśnie pod wia-



I - akcja obrzucenia pociągu butelkami z płynem zapakującym

II - akcja wysadzenia pociągu

--- trasa marszu

BRZEŻANY

St. kol.

Szybalin

Kamarówka

Dubszcze

Kozówka

Kozowa

Posuchów

Potutory

Krzywe

St. kol. Potutory

St. kol.

potok Czapówka

-51-

duktem, gdyż wtedy jej usuwanie nastreczy Niemcom niesamowitego kłopotu i stworzy poważne trudności techniczne, co powinno pociągnąć za sobą poważne straty w czasie, a o to przecież chodziło.

Jedynym miejscem najbardziej odpowiadającym tym założeniom był wiadukt drogowy tuż przed stacją Potutory, po którym przebiegała, nad torem kolejowym Potutory-Tarnopol, szosa Brzeżany-Podhajce.

Wiadukt ten znajdował się około 1200m od stacji Potutory, gdzie było pełno Niemców i stacjonował duży oddział bahnschutzów, którzy po akcjach koło Nagrabia i Żółczowa byli bardzo czujni. W tej sytuacji akcję należało przeprowadzić z wielką ostrożnością i dobrać uczestników dzielnych, o dużej odporności psychicznej i kondycji fizycznej. Zdecydował też d-ca Kedywu wykonać to zadanie małą grupką, która nie zwracałaby zbyt uwagi. Po namyśle dobrał do siebie: na z-cę d-cy patrolu, znającego dobrze te okolice Dynowskiego Karola i żołnierzy jego patrolu: Dynowskiego Bronisława oraz Adama Zamojskiego, a z patrolu dywersyjnego "Bąskich": Władysława Walczyszyna, Zbigniewa Frońskiego i Adolfa Podhajckiego.

Najkrótsza droga do miejsca akcji miała ok. 9 km długości i wiodła szosą Brzeżany-Podhajce lub torem kolejowym Brzeżany-Potutory, który biegł środkiem łąki w odległości ok. 300m od wyżej wspomnianej szosy i też ok. 300m od rzeki Złota Lipa. Dojść do miejsca akcji można też było przez wzgórze Zwierzyniec i Łysonia, ale d-ca zrezygnował z niej, gdyż była o 4 km dłuższa i pełna jarów i okopów z I wojny światowej, zasypanych śniegiem, a więc bardzo męcząca, choć trzeba przyznać najbezpieczniejsza. Przejście nią wymagałoby od członków patrolu bardzo dużego wysiłku, a zależało mu przecież na utrzymaniu ludzi w jaknajlepszej formie na czas samej akcji.

Najbardziej odpowiadało więc dojście torem wzdłuż linii kolejowej Brzeżany-Potutory, jako najmniej zaśnieżona i też bezpieczna ze względu na to, że od jakiegoś czasu była wyłączona z ruchu kolejowego, a więc nie kontrolowana.

Ponieważ w/g informacji kolejarzy, z którymi wspólnie organizowana była ta akcja, przejazd pociągu wojskowego miał nastąpić w nocy, a około godz. 22-giej przejeżdżał tą linią pociąg osobowy, który zwykle był spóźniony, d-ca wyznaczył godzinę zbiórki na 20-stą w domu p. Marii Ciołkowej na Chatkach, gdzie mieściła się, wzmiankowana już poprzednio, wartownia. Uzbrojenie patrolu: 3 pistolety maszynowe, 4 pistolety i granaty. Narzędzia potrzebne do rozkręcania szyn znajdowały się w budce kolejowej na trasie marszu, przygotowane przez oficera-sapera st. sierż. Józefa Niedziółka i Bronisława Buczka.

Na zbiórkę wszyscy doszli bez kłopotów, tylko Z. Szynalski zdążający na miejsce zbiórki, w towarzystwie Stanisława Wierzbickiego, miał pewien kłopot, gdyż został zatrzymany przez niemiecki patrol, a miał przy sobie aż dwa pistolety i prawie żadne dokumenty. Przygoda ta na szczęście zakończyła się szczęśliwie i wszyscy znaleźli się na miejscu zbiórki w oznaczonym czasie. Tu omówił dokładnie plan akcji i wydał ostateczne rozkazy. Miejsce zbiórki opuścili pojedynczo, aby znów zebrać się pod wiaduktem kolejowym na Marcelinie, skąd o godzinie 21-szej wyruszyli razem na miejsce akcji, torem.

Po przejściu mostu kolejowego na rzece Ceniówce, dalej poszedł oddział przez łąkę, na przelaj w kierunku wiaduktu tj. miejsca akcji oddalonego od w/w mostu już tylko około 500m.

Po wystawieniu czujki w składzie: Karol Dynowski i Władysław Walczyszyn od strony stacji Potutory, przystąpił z resztą patrolu do rozkręcania szyn. Obaj czuwający byli uzbrojeni ~~w pistolety~~ w pistolety maszynowe.

Ponieważ, jak już wspomniałem, najpierw miał przejechać pociąg osobowy, bo jeszcze nie nadszedł /był spóźniony/, należało szyny tylko poluźnić, aby po jego przejściu można już było łatwo dokończyć dzieło i rozkręcić szyny.

Jeszcze się praca nie "rozkręciła" na dobre, gdy d-ca patrolu zauważył jakąś uciekającą postać w kierunku stacji Potutory i wołanie: "Trymaj, trymaj" /Trzymaj, trzymaj/ przez zabiegającego uciekającemu drogę, Wł. Walczyszyna. Udało się, zatrzymał. Obaj z Dynowskim przyprowa-

dzili przygodnego nieznanego pod wiadukt przy czym po drodze wypytywali skąd się tu wziął i dokąd idzie, a robili to w języku ukraińskim. Okazało się, że jest to Ukrainiec pracujący na stacji Potutory i tam aktualnie zdążający. Gdy mu Dynowski przedstawił nasz oddział jako oddział UPA z Wołynia, który w imię ukraińskiej sprawy podjął walkę z Lachami /Polakami/ i Niemcami jako tymi, którzy zawiedli i nie stworzyli "Samostijnej Ukrainy", schwytany zaczął obu przekonywać, że i on robi to samo i że gdyby jego buty, które ma na nogach umiały mówić, dowiedzieliby się, że jest również członkiem bandy UPA i brał już udział w różnych akcjach na Polaków, m.i. w napadzie na Buszcze, gdzie zginęło również z jego ręki wielu Lachów.

W czasie gdy Dynowski dowiadywał się coraz więcej o swoim jeńcu, Szynalski wraz z patrolem pracował przy torze. I znowu niespodzianka. Do wiaduktu podjechała furmanka z kilkoma mężczyznami. Gdy Szynalski wysłał do nich trzech, posiadających niemieckie mundury, żołnierzy, ci nie spędziewając się niezłego dobrego, nawrócili furmankę i odjechali tak szybko, jak to tylko było możliwe. Tak pozbyli się nowych świadków, ale nie było czasu na namysły, bo usłyszeli nadjeżdżający od strony Tarnopola opóźniony pociąg osobowy. Szybko poleciał więc d-ca ukrycie się, członkom patrolu wraz z jeńcem, w zaroślach nad przepływającą w pobliżu rzeczką. Przeżył też nieco ten przejazd pociągu przez uszkodzony odzinek toru, ale udało się, pociąg szczęśliwie przejechał.

Teraz mogli już dokończyć rozkręcanie szyn, a pomagał im w tym dzielnie pojmany Ukrainiec. Jak to tylko było możliwe szybko, zbiera teraz d-ca patrol i odchodzi w kierunku mostu kolejowego na rzece Ceniówka. Stamtąd obserwuje nadjeżdżający wojskowy transport, który nadszedł wcześniej jak było planowane. Straszny to był widok. Spod wiaduktu wydobywały się kłęby pary z rozbitej lokomotywy. Zgrzytały rozbitane i miażdżone wagony ze sprzętem wojskowym pchającą je na siebie tylną lokomotywą, której załoga też była chyba wtajemniczona i współdziałała z patrolem.

Gdy odpięta lokomotywa ruszyła z powrotem do Potutor, zdecydowano unieszkodliwić pojmanego banderowca i odskoczyć w bok w prawo na szosę i wzgórze Łysonia, leżące poza nią. A był to już najwyższy czas. Gdy dotarli do wzgórza i ulokowali się na krótki odpoczynek należy po takim wysiłku, zauważyli od strony miasta dwa samochody z wojskiem śpieszącym na miejsce katastrofy, a wkrótce po tym jadącą od strony Potutor lokomotywę, też wypełnioną wojskiem. Nie pozostawało nic innego jak pozostać jeszcze przez jakiś czas na miejscu w ukryciu i po krótkim odpoczynku ostrożnie, bez zwracania niczyjej uwagi, a specjalnie szalejących Niemców, przedrzeć się zaroślami przez wzgórze w kierunku domu p. Marii Ciołkowej, gdzie wyznaczono znowu miejsce zbiórki. Ponieważ była jeszcze noc, a stopiony śnieg częściowo odsłaniał na stokach ciemne platy czarnej ziemi i zasuszonych traw, poruszanie się nie było trudne i tak niebezpieczne jak można się było w tej sytuacji spodziewać, więc z wolna podeszli pod miasto. Tu dojdzie do zabudowań p. Ciołkowej wymagało przejścia przez szosę Brzeżany-Potutory i pomiędzy ukraińskimi zabudowaniami, a nigdzie nie spano taki zamęt robili zdenerwowani Niemcy, którym wymknęli się dywersanci i to w tak trudnym terenie.

Zwolna, pojedynczo przedostali się wszyscy jakoś przez szosę i około godzina 4-tej czy 5-tej nad ranem zbrali się znowu wszyscy, szczęśliwi że się udało i że zalali Szwabom sadła za skórę.

Nie mniej uszczęśliwiona ich szczęśliwym powrotem p. Maria Ciołkowa biegła między nimi z gorącą kawą i z otwartymi ustami słuchała ich uwag na temat udanej ucieczki z tak mocno naszpikowanego Niemcami terenu i to po tak wspaniałym wypadzie.

Ale i tu nie było jeszcze całkiem bezpiecznie, bo dom p. Ciołkowej znajdował się w odległości ok. 80m od toru kolejowego i blisko szosy, na której panował coraz większy ruch z powodu katastrofy. Wprawdzie pocieszali się, że złodzieja nigdy nie szuka się w pobliżu miejsca kradzieży, ale niezbyt szybko upływał im czas na obserwacji jeżdżących tam i z powrotem rozszalałych Niemców. Dopiero popołudniu uspokoiło się nieco i mogli pojedynczo opuścić czasowe schronienie i powrócić

do domów, gdzie rodziny oczekiwały ich nie mniej zdenerwowane ich przedłużającą się nieobecnością.

Jeszcze z żadną akcją nie wiązało się tyle niespodzianek, które mogły być straszne w skutkach, ale wszystko skończyło się dobrze i co najważniejsze, Niemcy nie podejrzewali, że akcja wyszła z Brzeżan, a to było bardzo ważne ze względu na spokój i bezpieczeństwo mieszkańców.

Przyniosła ona Niemcom szkody przechodzące nasze oczekiwania i dzień ten, a raczej noc z 8 na 9 marca 1944r. nazwaliśmy "czarnym dniem dla Niemców". Z przeprowadzonego wywiadu wynikało, że pociąg jadący z Potutor do Tarnopola był transportem wojskowym wiozącym na front pod Tarnopolem sprzęt wojskowy, a mianowicie ciągniki, samochody, działa, amunicję i paliwo, załadowane na ok. 30 wagonach i 20 cysternach. Lokomotywa czołowa obsługiwana przez niemiecką drużynę, pchała przed sobą 3 platformy z piaskiem. Na końcu składu szła lokomotywa obsługiwana przez polską drużynę. W chwili wykolejenia przednie wagony zostały wypiętrzone i wypchane poza wiadukt, a rozbita lokomotywa znalazła się dokładnie pod wiaduktem. Prawie wszystkie wagony i cysterny spadły z toru, przy czym środkowe zostały wypiętrzone co było zasługą bezsporną tylnej lokomotywy.

Niemcy wściekali się, bo pomijając straty w sprzęcie wojskowym, taborze kolejowym i paliwie, a było tego 20 cystern, mieli olbrzymie trudności z usunięciem spod wiaduktu lokomotywy i potraskanych wagonów, zwłaszcza że wykop był w tym miejscu dość głęboki. Musieli ściągnąć specjalne dźwigi i zajęło im to prawie 3 doby, a była to przecież bardzo ważna dla nich w tym czasie arteria, można powiedzieć, że nawet o specjalnym znaczeniu strategicznym.

Chłopcy biorący udział w tej akcji zdobyli sobie wysokie uznanie Inspektoratu Głównym zostali uruczyście powiadomieni.

Był to już jednak ostatni pociąg wykolejony przez nasze oddziały, gdyż Niemcy po ciągach jakie od nas otrzymali, umieścili na wszystkich stacjach specjalne oddziały w sile kilkunastu ludzi każdy i bez przerwy patrolowali tory na interesujących ich odcinkach. Poza tym, gdy puszczali pociąg wojskowy, to na przodzie jechał teraz zawsze parowóz z polską załogą lub pociąg osobowy z cywilami.

Nie muszę chyba dodawać, że te akcje, które miały miejsce prawie na wszystkich liniach kolejowych przyfrontowych, osłabiły niemiecki front nie tylko liczebnie, ale co chyba nie mniej ważne, również moralnie i chociaż pozornie drobne to były akcje i przeprowadzane z ukrycia, robiły one dosłownie spustoszenie na niemieckim froncie.

Dalsze próby dywersji

Choć nie przeprowadzaliśmy już więcej akcji na wojskowe transporty, to jednak nie zrezygnowaliśmy całkowicie z dywersji.

W m-cu marcu otrzymaliśmy z Okręgu kilka kilogramów karborundu, który przekazaliśmy pracującym na kolei, aby wsypywali do maźnic. Proszek został dość szybko zużyty. Myślę, że poczynił on również niemałe szkody i utrudnił dostawy na front wschodni.

Przez cały czas konspiracji produkowaliśmy sami dwa rodzaje butelek wybuchowych. Specjalistą od tych rzeczy był wzmiankowany już wyżej Bronisław Buczek, nazywany przez chłopców "pirotechnikiem".

Jeden rodzaj tych butelek produkowało się tak: butelkę 1/2 litra napełniało się benzyną i naftą oraz pewną ilością kwasu siarkowego. Kwas siarkowy jako cięższy opadał na dno, co było bardzo ważne, gdyż powodował on wybuch przy zetknięciu się z mieszaniną chloranu potasu i cukru, wsypywaną w wydrążenie w korku, którym po owinięciu go pergaminem zatykano butelkę. Korek był z zewnątrz oblewany parafiną.

Przy użyciu ustawiało się butelkę korkiem w dół. Kwas, który zwolna opadał w dół, tym razem na korek, przeżerał zwolna pergamin na korku i z chwilą dojścia do mieszaniny chloranu potasu z cukrem, powodował zapalenie się benzyny i wybuch.

Drugi rodzaj butelek, ale z natychmiastowym wybuchem robiło się nieco inaczej. Butelkę 1/2 litra napełniało się dokładnie taką samą mieszaniną benzyny, nafty i kwasu siarkowego. Różnica polegała na tym,

że mieszanina chloranu potasu z cukrem znajdowała się tym razem pod etykietą na bocznej ścianie butelki, gdzie była zabezpieczona również przez pokrycie parafiną przed zawilgoceniem. Przed użyciem należało tym razem butelką wstrząsać dla wymieszania się benzyny, nafty i kwasu siarkowego i tak przygotowaną butelkę rzucić na niszczonego obiekt. W wyniku rozbicia się butelki następował kontakt kwasu z chloranem potasu, po etykietą i zapalenie benzyny i nafty rozlanej przy rozbiciu po okolicy wokół butelki. Dlatego też chłopcy nazywali te butelki zapalającymi.

Butelki te były wykorzystywane w różnych okolicznościach i zawsze skutecznie. Oto jeden z licznych przypadków: w m-cu kwietniu 1944r. d-ca Kedywu por. Z. Szynalski przenosząc kilka tych butelek na miejsce magazynowania, zrobił z nich użytek wykorzystując nadarzącą się okazję. ~~Otóż gdy przechodził obok nie strzeżonych samochodów łączności, stojących naprzeciw gmachu sądu, a więc w śródmieściu, podłożył pod nie niesione butelki pierwszego opisanego typu i odszedł. Po jakimś czasie nastąpił wybuch i samochody stanęły w płomieniach. Niemcy tym razem patrzyli bezsilni, gdyż nie byli na coś takiego przygotowani, a na dodatek zaczęła wybuchać znajdująca się na samochodach amunicja.~~

Zaginiecie kurierki z Okręgu

W m-cu kwietniu 1944r. przyjechała do nas ze Lwowa kurierka Komendanta Okręgu płk. Studzińskiego ps. "Rawicz". Była to młoda dziewczyna blondynka o dużych ciemnych oczach. Trochę utykała na nogę. Widziałem ją już raz w Tarnopolu. Kurierka ta przyjechała z prośbą o skontaktowanie jej z przewodnikiem w terenie w kierunku Tarnopola, gdzie miała zanieść rozkazy komendanta Okręgu. Radziłem jej aby przeczekała parę dni u nas aż się poprawi pogoda, a my zdobędziemy jakieś informacje jak przebiega aktualnie front i jakie są możliwości przejścia. Moje argumenty nie przekonały jej jednak. Uparła się, że musi iść.

Wobec tego wysłałem ją na punkt kontaktowy do miasteczka Kozowa, do kolejarza Grubiaka, skąd po dwóch dniach doprowadzono ją do odległego o 16 km następnego punktu kontaktowego w Płotyczy. Tam została w nieznanym mi okolicznościach aresztowana przez Niemców i przewieziona do Kozowy, gdzie była okrutnie torturowana przez gestapo, a niektórzy twierdzą, że nawet zabita.

Nikt nie wiedział jednak, gdzie ją pochowano, choć w tak małym miasteczku trudno byłoby to ukryć.

Pomimo zakazu słuchamy radia

Posiadanie radioodbiornika było karane, jak prawie wszystko, karą śmierci. Mimo to słuchaliśmy komunikatów z Londynu i to codziennie. Jednym z takich śmiałków, u którego słuchano komunikatów radiowych był Władysław Vogelgesang, którego przystojna żona, znająca biegle język niemiecki, ubezpieczała słuchających na wypadek nagłego wtargnięcia Niemców. Jej zadaniem było, a umiała to zrobić, odwrócić na jakiś czas uwagę Niemców i zająć ich, aby można było ukryć radio i stworzyć pozory niewinnej zabawy gości grą w karty.

W ten sposób mieliśmy stałe i systematyczne wiadomości, jak to się mówi, z pierwszej ręki, a było to ^{ale} bardzo ważne, gdyż pozwalało na właściwe ustawianie w czasie naszych działań konspiracyjnych. Nie obyło się i tu bez przygody, gdyż raz w czasie słuchania komunikatu z Londynu, rzeczywiście weszli Niemcy w poszukiwaniu kwatery. Jak już mówiłem p. Vogelgesangowa nie straciła głowy, przyjęła ich jak umiała najuprzejmiej, a ponieważ dobrze znała niemiecki przekonała ich, że mieszkanie jest zbyt małe /1 pokój + kuchnia/ i nie nadaje się na kwaterę. Muszę dodać, że była bardzo ładna i to też jej mocno pomogło. My tymczasem schowaliśmy aparat i sokośnie na pozór, kończyliśmy partię brydża.

Szcześliwie zakończone wpadki

Wszystko wskazywało na to, że Niemcy są coraz bliżsi wykrycia naszych patroli dywersyjnych pełniących również służbę wartowniczą na

peryferiach miasta dla ochrony ludności przed niespodziewanym napadem ukraińskiej bandy UPA. Zmusiło to patrole do opuszczania wartowni przed świtem i przechodzenia na inne punkty noclegowe. Dzięki temu szczęśliwie zakończyły się dwie wpadki.

Pierwsza: Na wartowni u p. Politewiczowej na Marcelinie zjawił się pewnego dnia uciekinier z wioski, jej wnuk Tadeusz Politewicz, lat około 17-tu. Spotkał się tam z serdecznym przyjęciem babci i poczuł jak u siebie w domu. Pewnego dnia wracając z miasta, zauważył oparty o śłup przy torach, rosyjski karabin typu "Mosin". Nie widząc nikogo w pobliżu, a do domu babci było bardzo blisko, ukrył go ja mógł pod prochowcem i przyniósł do domu.

Tu okazało się, że w lufie tkwi pocisk i jako zagwoźdżony nie nadaje się ten karabin do użytku. Czym w tym czasie było posiadanie jakiegokolwiek broni już mówiłem. Zaczął więc próbować usunąć pocisk, ale bezskutecznie. Wkońcu za radą "Barskiego II" wysypał z pocisku część prochu, otwartą łuskę zatkał papierem, umocował karabin za ścianą w sąsiednim pokoju i za pomocą sznurka odpalił. Przy okazji zapalił wprawdzie babci łóżko, ale udało się. Karabin został odgwoźdżony. Wyczyścił go więc starannie, zakonserwował i ukrył na ganeczku pod dachem.

Nie cieszył się nim jednak zbyt długo. Pewnego dnia otoczyła dom żandarmeria /Schupo/ i rozpoczęła rewizję. Odkryto nieszczęsny karabin, a właścicielowi, 17-letniemu Tadeuszowi, kazano kopać pod oknem babci domu sobie grób.

Jak opowiadał później, kopał i kopał i nie miał już sił, a ciągle coś się żandarmom nie podobało, a szczególnie ich komendantowi, a był nim prawdopodobnie znany nam już Pankrac, który ciągle coś wykrzykiwał i gestami rąk wskazywał, że mam kopać dalej. Już bardzo głęboki był dół, gdy wreszcie kazano mi przestać kopać i zabrano łopatę. Nie umiem powiedzieć co czułem, ale byłem już tak zmęczony i zrezygnowany, że właściwie chciałem aby ta zabawa już się skończyła, a tam w górze trwała jakaś narada. Wreszcie komendant widocznie zdecydował, że wszyscy mają odejść, a on sam przeprowadzi egzekucję. Gdy już odeszli dość daleko, bo trwało to "wieki", komendant stanął przy szczytowej ścianie dołu, nad wykopem i wskazaniem ręki kazał mi się ustawić przy przeciwnej szczytowej ścianie grobu i wypalił chyba pół magazynka, ale nie w moją stronę, zarzucił automat /pistolet maszynowy/ na ramię i bez słowa odszedł.

Długo nie mogłem zrozumieć co się dzieje. Wreszcie z pomocą babci, która zaraz podbiegła i kuzynek Wisi i Lidzi, wydostałem się z dołu i bez zwłoki opuściłem dom babci kryjąc się początkowo w pobliskim domu znajomych babci. Do dziś też nie rozumiem, opowiadał wszystkim, co natchnęło tego żandarma litością i kazało mu pozostawić mnie przy życiu.

Druga wpadka /na drugiej wartowni/: Stało się to o świcie, jakieś pół godziny po opuszczeniu wartowni w domu p. Dynowskich na przedmieściu Gachy. Nocną wartę pełnił tam patrol "Barskich" i w domu pozostał, stojąc w drzwiach wejściowych, A. Podhajecki "Barski III", który miał też odejść, ale dopiero po powrocie domowników, którzy w takiej nocy kryli się w klasztorze wraz z dobytkiem i pozostawiali dorobek całego swojego życia pod opieką patrolu wartowniczego. Wypatrując powrotu p. dynowskich, zauważył pędzący w kierunku tego domu samochód terenowy z żandarmami. Za późno już było na ucieczkę. Wszędzie otwarty teren, a w tyle za domem stok góry Storożysko. Nie było też już czasu na ukrycie pozostawionego na strychu, na posłaniu, pistoletu typu "VIS" i trzech węgierskich granatów, stojących na dole w pokoju pod lustrem, które pozostawiono aby nie był bezbronny, na wszelki wypadek. Na szczęście cała broń była już ukryta w szopce na podwórku w specjalnym schowku.

Błyskawicznie podjechali żandarmi pod dom i nasz pechowy bohater usłyszał głośnie: "Hände hoch." Tyle na szczęście rozumiał po niemiecku i zastosował się do rozkazu. Opowiadał później.

Gdy żandarmi weszli do domu i zaczęli rewizję, myślałem tylko o tym jak wytłumaczyć swoją obecność w tym domu i jak wyłgać się z posiadanej broni.

Na szczęście groźba wykrycia granatów szybko minęła, gdyż wyrzu-

cając z szuflad komody różne ciuchy, żandarmi zarzucili nimi znajdujące się na wierzchu granaty. Ale nie długo trwało moje zadowolenie, bo gdy uporali się z dołem, jeden z żandarmów wylazł na strych i wkrótce zjawił się z triumfującą miną z moim "VIS-em" w jednej ręce i z poduszką, na której leżał, w drugiej. Coraz częściej słyszałem słowo "Bandit", ale nie wiedziałem o czym mówią. Gdy jeden z nich mocno kalcząc język polski zapytał mnie co robię w tym domu, odpowiedziałem bez zająknięcia, że czekam na kolegę /syna Dynowskich/, z którym pasam krowy i nie rozumiem dlaczego nikogo nie ma w domu.

Nie zadowolili ich chyba moja odpowiedź, bo zaczęli żądać ode mnie przyznania się do znalezionej przez nich pistoletu. Zacząłem więc udawać niedorozwiniętego, który nawet nie wie co to jest pistolet.

Spytałem więc co mi pokazują i po co? Po kilku takich moich wyskokach, jeden z żandarmów wetknął mi w rękę pistolet i rozkazał: "schüssen" wskazując w bok. Zauważyłem, że pistolet jest zabezpieczony i po wyjaśnieniu mi co mam robić, zacząłem naciskać spust bez skutku i zdziwiony powiedziałem: "nicht schüssen". Wtedy ten żandarm odbezpieczył, a ja nieoczekiwanie wypaliłem im wprost pod nogi i krzyknąłem: "Och jak schüssen" i rzuciłem pistolet na ziemię.

Usłyszałem gromki śmiech i okrzyk "Idiot". Załadowano mnie wnet na samochód i zawieziono na żandarmerię wraz z moim wspaniałym: "VIS-m" / poduszką i pierzyną /. Straszne kłopoty mieli ze mną w śledztwie ze względu na moją cudowną znajomość języka niemieckiego i na to, że jak tylko potrafiłem zgrywałem się na idiotę widząc w tym jedyne wyjście z tej matni. Po tygodniu różnych wymyślnych prób i zastraszań, uznali mnie widocznie za niesamowitego imbecyla i zakwalifikowali na przymusowe roboty do Niemiec. Zostałem też odstawiony do więzienia tj. na punkt zborny takich jak ja nieszczęśników.

W więzieniu dość szybko otrzymałem, przez jednego ze strażników, adresy wzdłuż trasy kolejowej aż do Krakowa, ukryte w chlebie. Adresy te miały mi służyć za schronienie, gdy uda mi się uciec z pociągu w czasie transportu. Stojąc już na zbiorce do wyjazdu, pod okiem "Landwehry", zacząłem śpiewać: "Lecz trzeba wiedzieć kiedy wsiadać i wysiadać, szkoda słów" i powtarzałem to w kółko, aby w ten sposób poinformować mojego strażnika, że znalazłem adresy, ale ten nie mógł jakoś mnie zrozumieć. Śpiewałem więc dalej, aby ta informacja w końcu jakoś do niego dotarła. Moje śpiewy wywołały w efekcie salwy śmiechu pilnujących mnie Niemców i nieoczekiwanie, dla zabawy zrobiono mnie komendantem ~~komendantem~~ wyłożonych razem ze mną kobiet. Szybko zorientowałem się, że były to Ukrainki, więc zacząłem jak umiałem najkomiczniej ustawiać je w dwuszeregu, poszturchując przy tym bezlitośnie i wywołując coraz to głośniejsze wybuchy śmiechu.

Umocniło to tylko moją pozycję "komendanta" i osłabiło czujność Niemców. Jeszcze w nocy wyprowadzono nas na dworzec kolejowy, a gdy nadszedł pociąg zacząłem kobietom pomagać przy wsiadaniu do pociągu, aby jak najdłużej przebywać na peronie.

Wreszcie zdecydowałem się na ucieczkę popod wagon, ale już po drugiej stronie wgrzył mi się w spodnie ich pies gończy. Nie mając innego wyjścia zlapałem i ja jego za ogon i uciekałem dalej. Nieoczekiwanie straciłem grunt pod nogami i spadłem z nasypu kolejowego do rowu z wodą, gdzie dopiero wypuściłem psa wyjącego okropnie ze strachu. Nie ścigał też mnie więcej i umknął w stronę swego opiekuna ile tylko miał sił w nogach, wyjąc ciągle przeraźliwie.

Było jeszcze bardzo ciemno i Niemcy po oddaniu kilku strzałów przestali mnie ścigać, tym bardziej, że jedyny ich pies odmówił posłuszeństwa. W tej sytuacji, zaraz po odejściu pociągu, skierowałem się na przedmieście Chatki, gdzie w domu p. Kamińskich doprowadziłem się do porządku, zmieniając ubranie.

Gdy tylko minęła godzina policyjna tj. o 5-tej rano, wyszedłem groblą w kierunku Miasteczka tj. przedmieścia na którym mieszkałem, bo jak przypuszczałem i tak było, Niemcy zaraz rano przeszukają okolice stacji. Gdy Niemcy mnie szukali tam, ja byłem już wśród swoich na drugim końcu miasta i znowu zastanawiałem się jak pomóc Niemcom przegrać wojnę.

Tyle Podhajecki. Tu muszę dodać, że w czasie śledztwa na żandar-

I/536/H

© ARCHIWUM WISCHOŃIE

merii, znany nam już żandarm Austriak Pankrac, przychodząc w odwiedziny do Vogelgesangów opowiadał wesołe historie związane z przesłuchiwaniem jakiegoś idioty i w ten sposób, a myślę że rozmyślnie, informował co się dzieje z Podhajeckim i podał nawet termin jego wywózki, co umożliwiło nam kontakt z nim i podanie mu wspomnianych adresów ludzi, którzy pomogliby mu w czasie ucieczki.

Trzecia wpadka: Nie wiąże się ona bezpośrednio z wartownikami, ale sugeruje prowokację ze strony Niemców mającą ich naprowadzić na trop naszej organizacji. A było to tak.

Długo udawało się jednemu z naszych żołnierzy, a mianowicie Stanisławowi Stalisiowi ps. "Czarny", zdobywać z różnych źródeł broń, sprawną czy niesprawną, nie ważne. Wiadomo, apetyt rośnie w miarę posiadania, a udane transakcje rozzuchwalają i osłabiają czujność.

Szczęśliwie zdobył już karabin typu "Mauser", dwa pistolety: jeden mały FN kal. 7,65 i jeden kawaleryjski kal. 9 mm "Makarowa" z 8-ma nabojami w magazynku, ale największą jego zdobyczą był automatyczny 10-strzałowy karabin radziecki typu "SWT 40", który oddał do dyspozycji patrolu "Barskich" o czym pisałem w rozdziale "Banditen fangen" / Str. 11./. Aż stało się:

Któregoś dnia przyszedł do niego też już nam znany "pirotechnik" Br. Buczek i wskazał możliwość zakupu pistoletu kal. 9 mm typu "Mauser" wzór 1930 z 10-ma nabojami w magazynku /11-sy w lufie/. Kogóż by takie cacko nie skusiło. Skontaktowany z właścicielem-kupił i postanowił pozostawić go sobie. Tu moment, który nie świadczy bynajmniej o ostrożności i przezorności naszego bohatera. Jak to dufny w swoje szczęście, młody człowiek. nie poszedł do domu aby ukryć broń, bo przecież zawsze trzeba się liczyć z możliwością prowokacji, lecz krążył jeszcze jakiś czas po mieście ze swoją zdobyczą i na dodatek z granatem obronnym, który również udało mu się zdobyć.

Późnym wieczorem, gdy wrócił do domu, nadal nie rozstawał się ze swoją zdobyczą lecz przystąpił do sprawdzania sprawności magazynka i pistoletu, ładując i rozładowując go w swoim pokoju, przy naftowej lampie na parterze. Musiał być chyba obserwowany przez cały czas, bo właśnie w najmniej odpowiednim momencie, gdy cały pistolet leżał rozebrany na stole, do domu weszli jacyś Litwini, których oddział stał wtedy w mieście.

Został więc "Czarny" przyłapany na gorącym uczynku z bronią w ręku. Na szczęście jego matka nie straciła zimnej krwi i ukryła granat, jak to kobieta, w garnku z zupą. Mocno to pomogło pechowemu nabywcy pistoletu, gdyż mimo dokładnej rewizji nic więcej w domu nie znalaziono. Mimo potwornego pobicia nie przyznał się, na swoje szczęście, do posiadania innej broni i zbitego wyciorami i kolbami, ale tylko z pistoletem i kilkoma nabojami przekazano go ukraińskiej milicji, której funkcjonariusze znowu nie poskąpili mu bicia, usiłując za wszelką cenę dowiedzieć się czegoś o konspiracji. Przesłuchaniom nie było końca. Trwały one dosłownie dzień i noc, przy czym używano takich sposobów jak karcer, straszenie bronią, szafka z kapiącą na wygoloną głowę wodą itp. Przetrzymał nieszczęśnik to wszystko i do niczego się nie przyznał. Przewieziony wkońcu do więzienia nadal oczekiwał na to co zgotuje mu los.

Matka też nie zasypiała gruszek w popiele i w końcu, dzięki potężnej sile pieniądza i nieustępliwości matki, został zwolniony z więzienia i wrócił do domu. /Karta zwolnienia nr 153/44 /.

Nie przerwał jednak pracy w konspiracji, ale był już ostrożniejszy. Myślę, że Niemcy i Ukraińcy musieli też powątpiewać w istnienie konspiracji na terenie miasta, skoro w opisanych wyżej przypadkach nie uzyskali żadnej informacji.

Opisane wyżej wpadki miały miejsce w m-cu maju, dosłownie jedna po drugiej i to nasuwa podejrzenie, że Niemcy działali wprawdzie w ciemno, ale w oparciu o jakieś donosy.

Cudem nie rozstrzelani

I to wydarzenie również miało miejsce w maju 1944r. Dla podtrzymania ducha oporu broniących się na wioskach Polaków i zaopatrzenia

ich w lekarstwa, środki opatrunkowe, broń i amunicję, wysyłaliśmy w miarę możliwości dobrze uzbrojonych i odważnych łączników. W tym też celu zostali, w tym bardzo trudnym okresie, wysłani do Huciska trzej nasi żołnierze: Władysław Walczyszyn "Barski I", Adolf Podhajecki ps. "Barski III" i jako najlepiej znający drogę Karol Dynowski. Dołączył do nich jego brat Bronisław Dynowski i jako piąty Adam Zamojski. Każdy z nich był uzbrojony w pistolet i granat, aby mógł przenieść możliwie duży ładunek lekarstw i środków opatrunkowych.

W drodze powrotnej, gdy już czuli się całkiem bezpieczni, bo tuż przed wyjściem z lasu na wolne pole przed miastem, osłabili czujność i nie zachowując najmniejszych środków ostrożności, wyszli z lasu ~~wprost~~ wprost w ręce esesmanów. Nie wiedzieli bowiem, że w międzyczasie zarówno w mieście jak i na sąsiadujących z miastem polach, łącznie ze zbliżającym się frontem, rozłożyła się dywizja SS o nazwie "SS Hohenzollerndivision".

W pierwszej chwili chciano ich rozstrzelać bez sądu, ale widocznie dowództwo zdecydowało inaczej, bo po szarpaniach i popychaniach jakich im nie szczędzono, uspokoiło się nieco, zostali wsadzeni na samochód ciężarowy i w krótkim czasie znaleźli się przed obliczem dowódcy dywizji, kwaterującym w willi p. Rozkoszów przy ul. Farnej.

Rozpoczęło się tam przesłuchanie, z którego niewiele rozumieli. Mocno utkwiało im w uszach tylko, mocno akcentowane i powtarzane w nieskończoność słowo "Banditen". Wprawdzie próbowali przez jakiegoś, niezbyt mocnego tłumacza przekonać pana generała, że broń którą przy nich znaleziono mają tylko do własnej obrony przed banderowcami, ale nie skutkowało to chyba, bo w efekcie zostali załadowani na ten sam samochód z drużyną esesmanów i odwiezieni do spalonej jajczarni na rozstrzelanie. Zrobiono to chyba po to, aby ich przerazić i skłonić do mówienia "prawdy", bo gdy ich ustawiono pod ścianą, zawiązano oczy i dość długo ustawiano drużynę egzekucyjną trzymając ich z rękami podniesionymi do góry, usłyszeli warkot motocykla, jakieś rozkazy i znowu znaleźli się na samochodzie w drodze do p. generała.

Wszystko powtórzyło się od początku i znowu wśród okrzyków "Banditen" zostali załadowani na samochód i znaleźli się na żydowskim ~~znanym~~ cementarzu, gdzie ustawiono ich nad głębokim dołem przagotowanym chyba na egzekucję Żydów. I znowu jak w jajczarni, całą tą zabawę przerwał goniec na motocyklu z jakimś rozkazem generała.

Znowu załadowano ich na samochód i doprowadzono do generała. Tym razem rozmawiano z nimi grzeczniej, zapewniono że im wierzą i zaproponowano, jeśli nie są wrogami Niemców o czym zapewniają, wstąpienie do niemieckiego wojska dla walki "o nowy ład w Europie". Mając do wyboru to lub kulę zgodzili się wkońcu. Zrobili widocznie dobre wrażenie na generale, bo zaczęto się z nimi obchodzić bardzo grzecznie. Zostali wnet wtłoczeni w mundury "SS Hohenzollerndivision", pozbawione wrony na czapce i naramienników, ale z napisem na rękawie "SS Hohenzollerndivision". Dostali też pasy z ząbkami na bagnet, ale bez bagnetu, furazerki i zostali skierowani do kuchni polowej do prac pomocniczych. Ich zadaniem było ~~mycie~~ mycie kotłów, obieranie ziemniaków i palenie. Po trzech dniach wzorowego sprawowania się uzyskali zezwolenie na zobaczenie się z rodzinami.

Uzgodniono wtedy, że pozostaną w służbie przy kuchni aż do wyjazdu dywizji z miasta i przy pierwszej okazji uciekną. Tak też się stało. Swym zachowaniem zyskali sobie pełne zaufanie dowództwa i to do tego stopnia, że przy wyjeździe dywizji uzyskali zezwolenie na pożegnanie się z rodzinami.

Pojawili się znowu bogatsi, bo wyfasowali na drogę tornistry, koce i inny drobny sprzęt wojskowy. Zgodnie z umową zostali ukryci, a nam przybyło pięć dość porządnych niemieckich mundurów wojskowych i tyleż ekwipunków.

Co przeżyli to przeżyli, ale zyskali sobie szacunek i uznanie kolegów. Myślę, że niewielu postąpiłoby tak rozsądnie jak oni i tak zdecydowanie stawiałoby życie na jedną kartę. A przecież w przypadku Podhajeckiego "Barskiego III" to już druga wpadka w ciągu miesiąca i drugie szczęśliwe wyjście z opresji. Niejeden po takim czymś miałby dość konspiracji, tylko nie on.

Symptomy upadku ducha w niemieckiej armii

Gdy front zbliżał się do Tarnopola i ustalił chwilowo, na jakiś czas Niemcy zorganizowali w gmachu sądu w Brzeżanach i w budynkach dawnych koszar, dość dobrze wyposażony szpital wojskowy. Z każdym dniem przybywało tam rannych. Raczej nie ubywało. Ponieważ gmach sądu znajdował się w pobliżu mieszkania p. Szynalskich, został u nich zakwaterowany niemiecki lekarz wojskowy dr Schürmann. W odróżnieniu od innych Niemców szukał on zbliżenia z rodziną Szynalskich, a można powiedzieć, nawet ich przyjaźni. Po bliższym poznaniu się wzajemnym, przestał mieć przed nimi tajemnice, a kilkakrotnie w rozmowie z nimi dał nawet wyraz swemu oburzeniu i odrazie jaką w nim wzbudzały niemieckie zbrodnie popełniane m.i. na Polakach.

Opiniując sytuację stwierdzał, że Hitler doprowadził Niemców do zezwierżenia i jak twierdził z oburzeniem, nie rozumiał jak taki psychopata jak Hitler mógł tak ujemnie wpłynąć na naród, który wydał tak wielu wielkich ludzi, ma o sobie takie wysokie mniemanie, a nie oparł się jego woli i bez oporu wykonywał jego rozkazy choć zdawał sobie sprawę z ich ludobójczego charakteru.

Wykorzystując jego nastawienie polityczne i fakt, że potępiał to co się wokół działo, wprowadził go Szynalski w położenie Polaków zagrożonych ze strony banderowców, a specjalnie w momencie wycofania się niemieckich wojsk z miasta, a więc w czasie, gdy nie będzie w mieście żadnych sił porządkowych. Przy tej okazji poprosił go, aby mu zostawił jakiś pistolet i amunicję dla celów samoobrony.

Dr Schürmann dostarczył mu aż dwa pistolety i sporo amunicji i to wszystko przechowywał u siebie w pokoju aż do momentu ewakuacji szpitala. Dostarczył mu też sporo środków opatrunkowych i lekarstw, a wprawił wszystkich w osłupienie, gdy żegnając się z nimi w dniu ewakuacji, zdjął ze ściany portret Hitlera i po podarciu w paski podpalił i patrząc na płonący portret powiedział: "Sehen Sie mal, wie schön brennt unser Führer" /Widzi Pan jak pięknie pali się nasz wódz/. Były to, jak się okazało, proroctwa słowa.

A oto inny obrazek: Powracający z akcji późną nocą, a właściwie prawie nad ranem, patrol "Barskich" rozdzielił się nad stawem i dwóch tj. "Barski I i IV" poszło nawartownię na Chatkach, a dwóch tj. "Barski II i III" poszło przez groblę w kierunku dzielnicy Miasteczko, gdzie planowali spotkać się z rodziną dla wymiany bielizny i zaprowiantowania się na jakiś czas.

Gdy wychodzili z grobli na ulicę Lwowską i mieli po przejściu jej w poprzek wejść w Bahrę i polami dojść do rodzinnego domu, spotkali się dosłownie "oko w oko" z patrolem niemieckiej żandarmerii polowej z blachami w kształcie półksiężyca na piersiach i napisem: "Orstkommandatur", który zauważyli zbyt późno. "Barski II", który szedł przodem znalazł się na poboczu ulicy Lwowskiej, a "Barski III" idąc w tyle był jeszcze na grobli za murkiem oporowym i kucnął za nim niby dla poprawienia sobie czegoś przy butach.

Widocznie niemieckiemu patrolowi coś się nie podobało w wyglądzie naszych pseudoniemieckich żołnierzy, bo gdy minęli "Barskiego II" zatrzymali się, ale dopiero po przejściu 10 do 15 metrów od niego.

W tej sytuacji "Barski II" korzystając ze swojej znajomości języka niemieckiego przynaglił "Barskiego III" do wyjścia na ulicę Lwowską dla możliwie szybkiego oddalenia się od Niemców, zanim się zdecydują na coś. Jak opowiadał później "Barski II" trochę nieprzyjemny był moment, gdy odwróceni do Niemców plecami odchodzili, niby bez pośpiechu.

Nie padło jednak sakramentalne "halt" i obaj szczęśliwie odeszli w kierunku śródmieścia i znikli wśród zabudowań ulicy Rzeźnickiej. Nie zatrzymywani już przez nikogo dotarli do swego domu.

Ten przypadek wyraźnie świadczy o głębokiej demoralizacji i upadku ducha w niemieckim wojsku w wyniku ponoszonych klęsk i zbliżania się się frontów do granic Rzeszy.

I jeszcze obrazek ze Lwowa: Bardzo poważnym zagrożeniem dla Polaków mieszkających w miastach był głód i związane z tym choroby i cierpienia. Pomono więc ustawicznych łapanek na drogach i liniach kolejowych.

wych, obok tzw. "spekulantów", bardziej energiczni i przedsiębiorczy młodzi ludzie, zaopatrywali swe rodziny kupując żywność na wioskach za pieniądze lub na tzw. wymianę.

Opowiada "Barski II". Gdy dotarłem do Lwowa z żywnością dla rodziców szwagra, było ok. godz. 22-giej, od której obowiązywała godzina policyjna. Nie miałem zegarka, więc pędziłem ile sił w nogach, aby zdążyć do ich mieszkania przed zamknięciem bramy kamienicy.

Nie miałem już więcej jak 100 metrów do przebycia, gdy zostałem zatrzymany przez, jak mi się zdawało, niemiecki patrol wojskowy, słynną "sztraifę" ortskomendantury. Po okazaniu "Ausweisu", muszę dodać fałszywego, bo nigdzie nie pracowałem, zauważyłem że czytający go Niemiec włożył mi do środka jakiś biały kwadratowy papierek i dopiszo wtedy pozwolił mi odejść. Gdy znalazłem się już w domu i wyjąłem ten papierek, aby mu się przyjrzeć, o mało nie usiadłem z wrażenia. Był to kartonik z okrągłą pieczętką z polskim godłem i napisem w otoku: "Armia Krajowa Lwów".

Jakie to wywarło wrażenie na wszystkich domownikach nie muszę dodawać. Poczuliśmy się już prawie wolnymi obywatelami Wolnej Polski.

Myślę, że Niemcy nie panowali już nad porządkiem w mieście, zwłaszcza w nocy i że to również świadczy o osłabieniu ducha w niemieckim wojsku. Nie wierzę bowiem, aby nic nie wiedzieli o polskich patrolach na ulicach miasta.

A to zdarzyło się w naszej rusznikarni: Jedną z naszych rusznikarni mieściła się w domu p. Spiałków przy ul. A. Mickiewicza na przedmieściu Adamówka. Naprawiali tam uszkodzoną broń lub przerabiali /skracali/, dwaj nasi żołnierze: Ryszard Fudeman i Stanisław Korczyński. Rusznikarnię urządzono tam m.i. dlatego, że p. Spiałek prowadził warsztat mechaniczny i posiadanie w domu różnych metalowych "gratów" było, na wypadek rewizji, wytkumaczalne. Przy jego też pomocy, a był on wspólnym fachowcem, można było nawet dorabiać uszkodzone czy brakujące części.

Naprawiana broń był przechowywana w specjalnym schowku na podwórku poza warszatem, ale w czasie naprawy prace odbywały się w domu w jednym z przeznaczonych do tego celu pokoi, ca stanowisko pewne zagrożenie dla rodziny p. Spiałków.

Przez dłuższy czas pracowało się im spokojnie i nic nie wskazywało, że do mieszkania mogą wejść nieproszeni goście. A tak się właśnie stało. Raz, w czasie kontroli sąsiednich domów przeprowadzanej z jakiegoś Niemcem znanego powodu, weszło do mieszkania p. Spiałków kilku żołnierzy.

Nikt nie mógł już przestrzec naszych młodych rusznikarzy, tak nagle się to wszystko stało, i do pokoju w którym pracowali, gdzie leżał na stole rozebrany pistolet, a pod szafą przyniesiony też do naprawy pistolet maszynowy, wszedł jeden z nich.

Jak później opowiadał Fudeman, Niemiec który to odrazu zobaczył podszedł do niego, położył mu ręką na ramieniu, przybliżył twarz do jego twarzy i jakiś czas uparczywie patrzył mu w oczy. Nastanowił się chyba co ma zrobić, ale na pytanie drugiego Niemca, który za nim wszedł do pokoju, odpowiedział że wszystko w porządku i wyszedł.

Można sobie wyobrazić co czuli obaj rusznikarze, ale prawdopodobnie myśli tego Niemca też nie były takie jak być powinny. Myślę, że ten obrazek też mówi coś niecoś o morale niemieckiego żołnierza, w tym czasie.

Prasa i propaganda

Obraz atmosfery czasu okupacji nie byłby pełny, gdybym nie wspomniał choć pokrótce o naszej podziemnej prasie i ustnym budowaniu ducha patriotyzmu i poświęcenia w narodzie. Było to konieczne, gdyż okupant zamknął społeczeństwu polskiemu dostęp do oświaty i odciął od jakichkolwiek informacji ze świata. Chciał zniszczyć w nas świadomość narodową, stłumić a nawet zgasić patriotyzm i instynkt samozachowawczy, otumaniać specjalną propagandą, skazując Polaków na zagładę. Na drodze terrorowi i goebelsowskiej propagandzie stanęła jednak nasza podziemna prasa, przewożona i kolportowana przez naszych żołnierzy Polski Podziemnej.

mnej. Przez cały czas okupacji, pomimo stosowanych represji i zagrożenia karą śmierci, otrzymywaliśmy regularnie co tygodnia "Biuletyn Ziemi Czerwieńskiej", a raz w m-cu pisma warszawskie: "Żołnierz Polski" oraz "Instrukcje" i "Biuletyn Informacyjny".

Może nie były to wszystkie pisma wydawane przez Polkę Podziemną i na pewno nie, ale i te, które do nas docierały, niosły polskie słowo, napełniały ludzi otuchą i wiarą, a przez to dodawały siłę do przetrwania. Wzbudzały też poczucie patriotyzmu i napełniały ludzi pragnieniem włączenia się do walki, zwłaszcza że w każdej chwili groziła śmierć tym którzy redagowali i tym co je kolportowali, a nawet tym co je czytali.

Jeszcze chyba nigdy w historii prasa nie spełniała tak doniosłej misji wychowawczej i budzącej patriotyzm, jak w tym piekle hitlerowskiej okupacji.

Jak już wspomniałem, niezależnie od prasy podziemnej działała na codzień "prasa ustna" przenoszona z ust do ust, a raczej z uszu do uszu przez tych, którzy słuchali radia, a mieliśmy ich kilka dobrze ukrytych przed okupantem. Był taki aparat, jak już wspomniałem u p. Vogelgesangów, u p. Piątków przy ul. Konfederackiej, w klasztorze OO Bernardynów, u Kukurudzów przy ul. Zielonej i u ks. proboszcza Adama Łańcuckiego na parafii. Z tych źródeł mieliśmy codziennie aktualne wiadomości, a były one nie mniej pocieszające od prasowych, gdyż prawie codziennie dowiadywaliśmy się o ciągach jakie otrzymywali, na zbliżających się frontach, zniechęceni przez nas już do szpiku kości, faszyci spod znaku swastyki.

Nasze próby nawiązania łączności z armią radziecką

W m-cu czerwcu 1944r. otrzymałem rozkaz od Komendanta Okręgu nakazujący nawiązanie łączności z wojskiem radzieckim. W tym celu wezwałem kpr. Józefa Wojtusia d-cę plutonu z Budyłowa położonego nad rzeką Strypą, wzdłuż której przechodził front i przedstawiłem mu sprawę. Po przemyśleniu J. Wojtuś wyraził zgodę przejścia przez rzekę Strypę oświadczając, że widzi możliwość dotarcia do wojsk radzieckich.

Wobec tego otrzymał ode mnie szczegółową instrukcję działania, a przedstawiała się ona następująco:

1/ przy przechodzeniu Strypy wystawić obserwatorów dla utrzymania łączności z plutonem,

2/ nakazać swemu z-cy, aby po udanym przejściu zawiadomił mnie o tym,

3/ przy nawiązaniu kontaktu z wojskiem radzieckim zameldować się jako łącznik polskich oddziałów partyzanckich i zgłosić, że

4/ oddziały polskie proszą o patrol z radiostacją nadawczą, któremu gwarantujemy bezpieczeństwo i dostarczanie wiadomości o ruchach wojsk niemieckich,

5/ Przesłanie patrolu mogłoby się odbyć drogą lądową w rejon, dokładnie wyznaczyłem na mapie, przy zachowaniu proponowanych przeze mnie sygnałów:

a/ gdy na wystrzeloną z samolotu białą raketę z trzema gwiazdkami odpowiemy sygnałem świetlnym 7-mioma latarkami, oznacza to będzie, że w tym miejscu mogą być zrzućeni spadochroniarze i że oczekiwać ich będziemy przez 7 dni,

b/ gdy samolot przywiezie spadochroniarzy ma wystrzelić czerwoną raketę z trzema gwiazdkami i gdy otrzyma odpowiedź 15-toma latarkami o czerwonym świetle ustawionymi na kształt litery "T" oznacza to, że może zrzuć spadochroniarzy, ale u podstawy tej litery. Żołnierze z latarkami będą rozstawieni na przestrzeni 150 m.

Kapral Wojtuś rozkaz wykonał. Przeszedł Strypę i został przez napotkany patrol radziecki doprowadzony do sztabu w Kozłowie. Tam po złożeniu uzgodnionego meldunku został przyjęty i następnie przewieziony do Tarnopola. Nie uzyskał jednak zgody na nasze propozycje.

Wkrótce rozpoczęła się ofensywa radziecka. Po zajęciu Budyłowa kapral Wojtuś został tam przewieziony i zobowiązany przez dowództwo miejscowego garnizonu do zebrania swojego plutonu w celu zarejestrowania broni i zorganizowania miejscowej milicji, w której on będzie pełnił funkcję komendanta.

Akcja "Burza"

Ponieważ front wschodni zbliżał się z każdym dniem i znaleźliśmy się dosłownie na tyłach frontu, plan dywersji "P.1." upadł, a w jego miejsce wszedł plan akcji "Burza", zgodnie z którym nasze oddziały bojowe miały wystąpić zbrojnie, nawiązać łączność z wojskami radzieckimi i nękać z zasadzek tylne strażę wojsk niemieckich.

Przygotowaliśmy więc do wystąpienia jedną kompanię w skład której weszły: 1-szy i 2-gi pluton 1-szej kompanii z Brzeżan, trzeci pluton zorganizowany z plutonów Narajów i Buszcze i czwarty pluton z 2-giej kompanii z Huciska. Dowódcą kompanii został por. Zygfryd Szynalski ps. "Tryk", a jego z-cą por. Władysław Motylewicz ps. "Topola". Większego oddziału nie mogliśmy sformować, aby nie osłabić zbyt wiele Ośrodków i Punktów Samoobrony, ze względu na ciągle jeszcze trwające intensywne działania band UPA.

Gdy tylko alianci utworzyli oczekiwany od dawna "drugi front" wysadzając desant we Francji, Niemcy zaczęli przerzucać część wojsk na front zachodni. Wyjechały od nas dywizje pancerne i dużo artylerii. Mocno też został osłabiony garnizon w mieście. W tej sytuacji spodziewana była bliska ofensywa wojsk radzieckich i otrzymaliśmy rozkaz wysłać przygotowaną kompanię do lasu na akcję "Burza" z zadaniem posuwania się na tyłach wojsk niemieckich i prowadzenia walk z ich tylnymi strażami.

W rejonie Dunajowa, kompania ta, po dołączeniu innych oddziałów z Obwodów Zborów i Złoczów, miała wejść w skład batalionu pod dowództwem kpt. Franciszka Tokarczyka vel Garwola ps. "Dziryt", którego zadaniem było współdziałanie z oddziałami radzieckimi i branie udziału w pościgu za Niemcami po osi Dunajów-Przemyślany-Bóbrka-Lwów, gdzie batalion ten miał wejść w skład zgrupowania Komendanta Obszaru. W przypadku odwrotu Niemców na południe i niemożności dotarcia do Lwowa, batalion ten miał przejść z rejonu aktualnego działania do Brzeżan i tam zorganizować 51 pp. do dyspozycji Komendanta Obszaru.

W dniu 14 lipca 1944r. rozpoczęła się ofensywa wojsk radzieckich na kierunku lwowskim. Już w dniu 16 lipca dwie radzieckie armie pancerne 1 Frontu Ukraińskiego: 3 gwardia gen Rybałki i 4 armia gen. Leluszenki, przełamawszy obronę niemiecką ruszyły z rejonu na wschód od Złoczowa na Lwów. Pierwsza z nich po przełamaniu obrony niemieckiej poszła przez Złoczów, Krasne z zamiarem obejścia Lwowa od północy, druga przez Przemyślany i Świrz z zamiarem obejścia Lwowa od południa. W ślad za nimi szły 60 armia gen. Kuroczkina i 38 armia gen. Moskalenki.

Nie znając planów radzieckich rozpoczęliśmy w dniu 18 lipca akcję "Burza". Na przygotowanie terenu zbiórki kompanii kpt. Franciszek Garwol "Dziryt" wyznaczył 1-szy pluton 1-szej kompanii, którego d-cą mianował kpr. podchorąż Zbigniewa Frońskiego "Barskiego II". Zadaniem tego plutonu, w skład którego wchodziły dwa silne patrole Kedywu: patrol "Barski" i patrol Karola /Dynowskich/, było obsadzenie osiedla Czternastówka i spenetrowanie lasu, przynajmniej na 5 km w głąb, dla sprawdzenia czy nie ma tam oddziałów banderowskich. Wieczorem następnego dnia pluton ten miał wystawić posterunki i łączników na odcinku I Cegielnia-Czternastówka, dla umożliwienia sprawnego wejścia pozostałych żołnierzy 1-szej kompanii, którym wyznaczył termin zbiórki na dzień 19 lipca na godz. 22-gą.

Okazało się, że las jest czysty i następnego dnia, zgodnie z rozkazem wyruszyła do lasu już cała kompania tj. dwa plutony z Brzeżan i 4-ty pluton 2 kompanii z Huciska, który stoczył po drodze walkę w rejonie Hucisko-Podwysokie z Niemcami, broniąc aż trzech mostów przed wysadzeniem. Niemcy wycofali się zabierając ze sobą rannych, ale w walce tej zginął jeden z najdzielniejszych d-ców drużyn kpr. August Szczepański. Muszę tu dodać, że drugi pluton kompanii z Huciska, choć nie brał udziału w akcji "Burza", urządził zasadzkę na szosie Podwysokie-Rohatyn i ostrzelał skutecznie niemiecki tabor zdobywając kilka rowerów.

Na drugi dzień po wyjściu kompanii do lasu, do miasta wkroczyły wojska radzieckie.

Ze względu na bezpieczeństwo, kompania partyzancka zmieniała często miejsce pobytu w lesie, a do czasu zorganizowania wszystkich służb,

1-szy pluton pełnił na postoju służbę wartowniczą, a przy zmianie miejsca postoju kompanii służbę ubezpieczającą. Posiadając doświadczone patrole Kedywu prowadził też 1-szy pluton służbę patrolową.

W czasie jednego z takich patroli, pełnionych chwilowo stale przez 1-szą drużynę pod dowództwem A.Podhajeckiego "Barskiego III" wykryto baterię niemieckiej artylerii, ustawioną na wzgórzu Storoży-sko nad miastem przed wioską Żorniska. Znany, jak już wspomniałem, z odwagi i oryginalnych pomysłów A.Podhajecki, ubrał na rękaw noszoną przez nasze oddziały biało-czerwoną opaskę z orłem i na tle patrolu, który ustawił za pobliskimi drzewami, ukazał się przerażonemu wartownikowi niemieckiemu, nie mówiąc ani słowa /Przecież nie znalazł języka niemieckiego/.

Po krótkim przetrzymaniu go w napięciu odwrócił się i spokojnie wraz z patrolem odszedł. Gdy zameldował o tym odkryciu i dla zlikwidowania tej artylerii grożącej miastu ostrzałem, wyszedł pod dowództwem por. Z.Szynalskiego oddział, po artylerii nie było już ani śladu.

Uratowało to prawdopodobnie ludność miasta przed zbombardowaniem, a także przesuwające się szosą Trnopol-Brzeżany oddziały radzieckie, przed zmasowanym ostrzałem.

W międzyczasie, zaraz na drugi dzień po wkroczeniu wojsk radzieckich do miasta, zgodnie z rozkazem podjęliśmy działania dla nawiązania łączności z dowództwem tych wojsk. Po nałożeniu opasek na rękawy, poszliśmy z Franciszkiem Świdrakiem i Karolem Całką odszukać sztab. Gdy zgłosiłem jakiemuś pułkownikowi, do którego nas doprowadzono, cel naszego przybycia, odpowiedział: "Eto nie majo dzieło. Zdieś Komandir Goroda. Eto jewo dzieło."

Po dłuższych staraniach dostaliśmy się do komendanta miasta, a był to mjr Szyłow. Złożyłem mu obowiązujący meldunek, przedstawiłem się jako dowódca oddziałów bojowych na terenie powiatu Brzeżany, opisałem pokrótce naszą działalność bojową i zameldowałem też, że jedna z naszych kompanii posuwa się na tyłach wojsk niemieckich w kierunku Lwowa, prowadząc walkę podjazdową. -"Ot charosze dzieło"- powiedział i słuchał dalej. Zgłosiłem mu więc, że mamy jeszcze 1500 ludzi, którzy po dozbrojeniu przez wojska radzieckie mogą odegrać niemałą rolę tu na miejscu i w walce z Niemcami. Powiedział mi na to: -" U nas orużia niet. Nada wziat bandieram" i kazał mi przyjść na następny dzień.

Ale w międzyczasie mamy poważne w następstwa wydarzenia. Ten sam patrol pod dowództwem A.Podhajeckiego spotkał się w lesie z pierwszymi oddziałami radzieckimi i bez namysłu wyszedł na spotkanie. Ze względu na posiadane przez niektórych członków patrolu niemieckie mundury, żołnierze radzieccy okrzyknęli ich "fritzami" i o mało nie postrzelali na miejscu. Doszło do sporu między radzieckimi dowódcami i ostatecznie zdecydowano, patrol rozbroić i jako zakładników odesłać do Brzeżan, wysyłając jednego z członków patrolu ze starszyną - ochotnikiem o nieznanym mi niestety nazwisku, do oddziału w lesie, z rozkazem wyjścia z lasu i powrotu do miasta dla oddania się pod rozkazy Komendanta Miasta

Nie było innego wyjścia. Oddział wyszedł z lasu i zebrał się w Monastyrku pod wioską Leśniki, w której nieoczekiwanie się dożywił, gdyż nie mający czystego sumienia mieszkańcy, na widok naszego oddziału opuścili w pośpiechu domy, pozostawiając otwarte, nawet z ogniem pod płytami kuchennymi. Ponieważ nie brakowało we wsi masła, jajek, słoniny, wędzonki i innych specjałów, ciężko było naszym żołnierzom opuszczać "gościnną" wieś i maszerować na miejsce zbiórki. Ale cęź, nie można było inaczej postąpić, "siła wyższa".

Gdy oddział wyszedł z lasu, ja powiadomiony przez gońca o zaistniałej sytuacji, rozpocząłem ponownie starania o nawiązanie łączności. Tym razem moje wysiłki zostały uwieńczone pozytywnym skutkiem. Na wyznaczone przez wojsko miejsce zbiórki kompanii, wyjechał konno z Brzeżan: Komendant Goroda, Komendant NKWD i Komendant NKGB. Tam, po ustaleniu, że zebrani partyzanci są tymi o których mówiłem, zażądali aby cały oddział przemaszzerował do miasta i zebrał się pod budynkiem Komendy Goroda.

Dopiero około południa dotarł nasz oddział na miejsce nowej zbiórki i tu zaczęły się ponowne, trwające w tym dnia aż do godz. 22⁰⁰ wie-

czorem, pertraktacje.

Ostatecznie, po licznych telefonach i rozmowach ze Lwowem, Komendant Miasta wyraził zgodę na odejście naszego oddziału z bronią do domów, przy czym zarządził ponowną zbiórkę na następny dzień przed gmachem NKWD w celu rejestracji broni i ewentualnej deklaracji poszczególnych członków oddziału, co do udziału w walkach z bandami UPA w ramach "Istrebitielnoho Bataliona" /"Myśliwskiego Batalionu"/.

Pluton z Huciska został zakwaterowany w klasztorze i kwaterował tam przez 5 dni, aż do czasu podjęcia w ich sprawie ostatecznych decyzji. Zgodnie z rozkazem komendanta miasta cały oddział zebrał się na następny dzień i zgłosił do rejestracji posiadaną broń, a około 160 osób zgłosiło akces do "Istrebitielnoho Bataliona". Pozostali zdali broń i przystąpili do normalnej pracy. Pluton z Huciska, który zachował jeszcze broń, na rozkaz Szyłowa objął posterunki przy koszarach, moście, aptekach i wraz z członkami istrebitielnoho batalionu, nocne patrole na ulicach miasta. Żołnierze chodzili na ćwiczenia i pełnili służbę. Dla stworzenia lepszej atmosfery w mieście śpiewali piosenki wojskowe i pieśń partyzancką napisaną przez Stanisława Godowskiego:

Dokoła tylko ciemny las
I ciemna noc dokoła,
Dziś wolna Polska wzywa nas,
W swe szeregi dziś nas woła.
Nie zniszczy nas już żaden wróg
I nikt nas nie rozbije,
Idziemy z naszym hasłem wprzód,
Wolna Polska niech nam żyje.

Niemcy nie wywiozą nas,
Nie zrobią emigrantów,
Do walki stanie hufiec nasz,
Oddział polskich partyzantów.

~~Po kilku dniach polecono por. Z. Szynalskiemu zorganizować z żołnierzy AK członków istrebitielnoho batalionu, milicję w sile 100 ludzi. W myśliwskim batalionie pozostało 60 ludzi i tu muszę dodać, że kilku z nich sprawiło się bardzo dzielnie w walce z bandami UPA, zostali mianowani oficerami i otrzymali radzieckie odznaczenia. Wielu z tych którzy podjęli pracę w cywilu, pracowało w t.zw. "Wtorom trudowom frontie" /"Drugim froncie pracy"/, przy pracach związanych z techniczną obsługą frontu, gdzie wyróżniający się zostali uznani jako "spece" niezbędni w zakładzie, w którym pracowali, i jako tacy zwolnieni ze służby wojskowej.~~

W tej sytuacji wydałem rozkaz do wszystkich podległych mi oddziałów, w którym dziękując wszystkim żołnierzom oddziałów bojowych, WSOP WSK za poświęcenie i ofiarną pracę w szeregach AK, zwolniłem ich z dniem 31 lipca 1944r. z przysięgi.

Ponieważ do milicji wstąpiło później jeszcze wielu naszych byłych żołnierzy /ogółem 340/, pomogło to w dużym stopniu w przetrwaniu i samoobronie, przed bandami UPA, mieszkającej na wsi ludności polskiej.

Nie łatwo byłoby im bez pomocy z zewnątrz przetrwać, bo

ciągle jeszcze nie koniec walki z Ukraińcami.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich mieliśmy nadzieję, że Ukraińcy zaprzestaną już swej zbrodniczej działalności i chłopci zaczęli wracać do swych zagród, a tymczasem sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej. Każdy dzień przynosił wiadomości o ciągle nowych ofiarach.

W tej sytuacji, stacjonujący w Brzeżanach garnizon, zaczął przeczesywać lasy i ukraińskie wioski w poszukiwaniu ukrywających się tam banderowców. Pomagał mu w tym dzielnie nasz "Istrebitielnyj Batalion".

W czasie jednego z takich wspólnych wypadów, w lesie nad wioską Leśniki wpadła im w ręce duża, bo 60-osobowa grupa banderowców z radiostacją, dużymi zapasami żywności i innych materiałów, zmagazynowanych do dyspozycji UPA. Akcje te pociągały za sobą jednak dalsze ofiary, wysłane niepotrzebne. Tak zginął prokurator Kachamlicki i z-ca naczelniczka NKWD oraz wielu oficerów radzieckich. W czasie przeczesywania lasu pod Narajowem, zginął nasz żołnierz Tadeusz Mazurkiewicz, który stracił

łącność wzrokową z oddziałem i choć dość szybko stwierdzono jego nieobecność i bezzwłocznie został odszukany, był już martwy i zmasakrowany tak, że nie był do rozpoznania nawet przez swoich najbliższych. Nie był więc pokazany matce i pochowano go w bandażach z w pełni osłoniętą twarzą, rękami, nogami i dużymi partiami ciała odartymi ze skóry.

Stan taki trwał do 1946r., ale sytuacja Polaków była o tyle lepsza, że władze radzieckie pozwoliły na organizowanie polskiej milicji, dzięki czemu duża ilość Polaków mogła nosić oficjalnie broń, a przy nich nie musiała się też zbyt ukrywać cała wieś, co poważnie ułatwiało samoobronę.

W tej sytuacji napady banderowców zaczęły się ograniczać do pojedynczych osób na drogach poza wioskami i osiedlami. Tak zginęło 3 ludzi jadących furmanką z Huciska do Brzeżan. Innych 3 Polaków zostało schwytanych na drodze z Kozowy do Wymysłówki, przywiązanych za nogi do drzew i poddanych rozciąganiu przez ponaginane drzewa po podwiązaniu ich pod pachami sznurem do ich szczytów. Najpotworniejsze było jednak to, że po takim naprężeniu ponacinali im brzuchy powodując pęknięcie otrzewnej i wypływanie wnętrzności, a przez to śmierć w nieopisanych męczarniach.

W podobny sposób zostali zamordowani, wysłani przez władze radzieckie po kontygent do Rekszyna: Kantorek, Iśkiewicz i Riwieńko. Prawie nie było wypadku, aby schwytany przez banderowców Polak był zabijany w jakiś bardziej humanitarny sposób. Każda ze znalezionych ofiar była mordowana w potworny sposób np. przez wypalanie oczu, wycięcie języka, odrabianie kończyn, odarcie ze skóry itp., przy czym po takim okaleczeniu była pozostawiana przy życiu na t.zw. "powolne konanie" przez wykrwawienie i zakażenie. To co piszę brzmi niewiarygodnie, ale jest niestety prawdziwe i oparte na faktach.

Przez dłuższy czas szosą Brzeżany-Narajów i dalej Narajów-Przemysłany-Lwów mogły przechodzić tylko większe oddziały wojskowe i to w szyku bojowym. Ponieważ szosa Brzeżany-Lwów przechodziła przez większe partie lasów, w których przebywali banderowcy, trakt ten nie był też przejezdny dla pojedynczych pojazdów mechanicznych.

Raz, gdy ryzykancko chciał tamtędy przejechać autobus ze Lwowa do Brzeżan, został pod Narajowem ostrzelany i spośród jadących w nim Polaków zginęli dwaj mieszkańcy Brzeżan: Adam Adamczyk i Jan Olszewski. Trzeci o nieustalonym nazwisku również zmarł nim dojechał do Brzeżan. Takich wypadków było też dużo. Wydaje mi się, że obraz jaki kreślę mówi wyraźnie, że życie ludzkie przestało mieć dla banderowców jakąkolwiek wartość i że u wszystkich członków UPA doszło do zupełnego zezwierzecenia i zataraty wszelkich ludzkich uczuć.

Dziś jeszcze, po tylu latach od tych koszmarnych wydarzeń, wypada mi pióro z ręki na samo wspomnienie o tym. Myślę też, że czytelnikowi trudno będzie sobie wyobrazić sytuację w jakiej wypadło wielu ludziom, mieszkającym w tamtych stronach, żyć i umierać.

Podsumowanie osiągnięć i strat Obwodu.

Działalność bojową Obwodu ilustruje poniższe zestawienie strat poniesionych przez Niemców w wyniku działań dywersyjnych naszych oddziałów.

Na terenie Obwodu AK Brzeżany do dnia 20 lipca 1944r.:

- zginęło 16 oficerów, 26 żołnierzy i 2 żandarmów,
- raniono ponad 100 żołnierzy i oficerów,
- zniszczono 4 lokomotywy, 7 wagonów osobowych, 9 cystern z paliwem, 10 wagonów towarowych, 7 samochodów ciężarowych, 2 samochody łączności, kilkadziesiąt platform kolejowych i duże ilości sprzętu wojskowego.
- Łączna przerwa w komunikacji kolejowej na skutek wykolejenia pociągów trwała 10 dni.
- Ponadto przeprowadzono 37 drobniejszych akcji dywersyjnych i sabotażowych.

Ze względu na brak konkretnych danych nie ujęto w powyższym zestawieniu zabitych i rannych Niemców przy wykolejeniu pociągu pod stacją Złota Słoboda.

Uważamy że straty okupanta były znaczne, gdy weźmiemy pod uwagę nasze możliwości i to, że po naszej stronie nie było żadnych strat w ludziach w związku z tymi akcjami. Napewno decydującą rolę odegrały tu: zaskoczenie, zdecydowana postawa naszych żołnierzy w czasie akcji, dobre przeprowadzenie tych akcji i właściwa postawa całego społeczeństwa polskiego zważywszy fakt ogromnego ryzyka i odpowiedzialności naszych żołnierzy w stosunku do swych rodzin i sąsiadów na wypadek "wpa-
dki" i pełnej świadomości tego zagrożenia ze strony nie biorących w tym udziału.

Jeśli dodać do tego stałe zagrożenie ze strony band UPA, to fakt że zadaliśmy najeźdźcom tyle strat nie narażając przy tym nikogo na represje, a więc cierpienia i katusze, ze strony okupanta, jest dużą i po dzień dzisiejszy jedyną satysfakcją dla naszych żołnierzy i tych którzy nimi kierowali.

Straty zadane Ukraińcom przez nas są nieznaczne i są wynikiem sytuacji narzuconych nam przez nich samych, a raczej przez ich część spod znaku UPA, wysługującej się hitlerowskiemu najeźdźcy. Z Ukraińcami nie prowadziliśmy przecież wojny stosując jedynie samoobronę przed sfanatyzowanymi bandami. Na czas przygotowana samoobrona miała niewątpliwie poważne znaczenie i zmniejszyła nasze straty, bo przygotowana ludność polska nie została zaskoczona i nie doszło do rzezi jak na Wołyniu.

Samoobrona dała jednak poważne i wyraźnie pozytywne wyniki tylko tam, gdzie były dobrze uzbrojone oddziały i dobre dowództwo jak np. na terenie działania 2 kompanii, która dwukrotnie odparła napad na wieś Hucisko z dość dużymi stratami Ukraińców. Natomiast Ośrodki słabo uzbrojone uległy. Największe straty poniosło aż 5 polskich wsi: Kuropatniki, Wolica, Buszcze, Huta i Zapust Lwowski, w których zginęło łącznie 170 Polaków, a ich mienie poszło z dymem.

Obronną ręką wyszły i poniosły stosunkowo niewielkie straty wsie: Baranówka, Budyłów, Szumlany, i Taurów, w których zginęło łącznie 29 Polaków i spłonęło ich mienie.

Ponadto stosunkowo duże straty poniosła ludność polska w wyniku powszechnie stosowanych przez UPA mordów skrytobójczych, które cechowało niesamowite i wprost nieludzkie okrucieństwo, zasługujące na najwyższe potępienie. Liczba ofiar barbarzyńskich mordów UPA jest dziś trudna do ustalenia z powodu nie zachowania się odnośnych raportów. Niemniej jest to liczba poważna i można ją w przybliżeniu ocenić na około 70 osób, w różnym wieku /nawet dzieci i starców/ i obojga płci.

Ogólnie należy stwierdzić, że dzięki zorganizowanej samoobronie i zdecydowanej postawie Polaków, Ukraińcy nie odważyli się na poważniejsze akcje o czym świadczą m. i. fakt zaniechania planowanego przez nich napadu na miasto Brzeżany, jak również na te miejscowości, które stawiały im zbrojny opór. Oceniając z należytych respektem naszą postawę, byli zmuszeni stosować taktykę akcji na mniejszą skalę, zwłaszcza taktykę skrytobójczych mordów i właściwie tylko na tym polu odnosili sukcesy i zadali nam niemałe straty.

Obowiązujący zakaz stosowania odwetu z naszej strony był niejednokrotnie bardzo trudny do przestrzegania jak np. w przypadku zamordowania dra Stefana Bilińskiego, był jednak koniecznością. Nie chcąc rozpętywać otwartej wojny z Ukraińcami, Polacy nie występowali zaczepnie, stosując jedynie samoobronę, którą starałem się jaknajdokładniej opisać.

Katastrofalny brak broni, której zrzućy wbrew nadziejom i oczekiwaniom nigdy do nas nie dotarły oraz odwieczne przywiązanie chłopów do ojczystej ziemi, które nie pozwalało mu nieraz na opuszczanie swoich gospodarstw nawet za cenę utraty życia, to główne przyczyny tragicznych strat poniesionych przez ludność polską.

Myślę też, że gorąca miłość ojczystej ziemi spowodowała, że pomimo grozy sytuacji i strat jakie ponosili, Polacy nie opuszczali tamtych ziem i przetrwali, skutecznie odpierając ukraiński napór w ramach obrony swego stanu posiadania.

Jeszcze słowo o volksdeutschach

Obraz tamtych lat byłby niepełny, gdybym nie wspomniał jeszcze

o volksdeutschach, nowej historycznie grupie ludzi stworzonej przez niemiecki faszyzm dla potrzeb hitlerowskiej Rzeszy.

Zaraz po wkroczeniu przystąpili Niemcy do rejestrowania tzw. volksdeutschów tj. ludzi, którzy wyrzekali się swojej dotychczasowej przynależności narodowej, podając się za Niemców z pochodzenia. Dawało im to pewne przywileje i to było chyba dla nich najważniejsze.

Ogółem podpisało w Brzeżanach "volkslistę" 160 rodzin polskich i ukraińskich tj. okło 500 osób. Ich opiekunem z ramienia SS był niejaki Hubert. Dla ich dzieci została wnet otwarta niemiecka szkoła, której celu nie trzeba chyba wyjaśniać.

Ci odszczepieńcy tworzyli oddzielną, zamkniętą społeczność. Nie kontaktowali się z Polakami, ale nie było też wypadku, aby któryś z nich doniósł na Polaka. Może byliby groźni w razie zwycięstwa Niemców, ale klęski jakie ponosili Niemcy na wszystkich frontach na pewno mocno ostudzały ich zapał. Wydaje mi się, że conajmniej 90% volksdeutschów nie miało nic wspólnego z niemieczyzną, jeśli chodzi o genealogię, ale czego się nie robi dla polepszenia sobie bytu, a czasem ze zwykłego tchórzostwa, gdy się nie ma mocnego kręgosłupa". Napewno każdy z nich jakoś by to uzasadniał, ale chyba tylko po to, aby jakoś wyglądać we własnych oczach.

Nie mam nic na usprawiedliwienie niektórych z nich, zwłaszcza tych którzy przed wojną zajmowali jakieś stanowiska i mieli wobec Polaki jakieś zobowiązania. Należą tu: st.sierż.Uklejewski Walerian wraz z rodziną, st.sierż.Tutla Franciszek z rodziną, st.sierż.Szymlet Stanisław z rodziną, st.sierż. Grzywa Tadeusz z rodziną, st.sierż.Rosołowski z żoną i córką, plut.Ískiewicz z rodziną, st.sierż.Michalica Józef z rodziną, urzędnik PKU, sekret.Zw.Leg. Moroszkiewicz z rodziną, st.sierż. Zdrazil z rodziną, plut. Gorceyk, policjant Ostrowski z rodziną, sędzia Gawalewicz z rodziną, policjant Jankowski z rodziną i urzędnik sądowy Kantorek z rodziną.

Wydaje mi się jednak, że ocenę postaw tych ludzi najlepiej pozostawić historii.

E p i l o g

Staralem się, aby moje wspomnienia z tamtych koszmarnych dni okupacji obejmowały całokształt spraw związanych z tym okresem i były możliwie obiektywne. Na ile mi się to udało pozostawiam do oceny czytelnikowi.

Uważam jednak, że tym którzy byli autorami opisywanych przeze mnie zdarzeń i równocześnie aktorami igrającymi z niebezpieczeństwem jakie niosła ze sobą realizacja scenariuszy tych zdarzeń, należy się ode mnie kilka słów.

Wydaje mi się, że bardzo wiele zależało od dowódców, z pośród których chciałbym wyróżnić dwóch, a mianowicie dowódcę Kedywu por.Zygryda Szynalskiego ps."Tryk" i d-cę 2 kompanii ppor.Władysława Motylewicz ps."Topola". Ci dwaj oficerowie stanowili kręgosłup oddziałów bojowych i im w dużym stopniu zawdzięczamy sukcesy dywersji i samoobrony i oni właśnie w dużym stopniu przyczynili się do zajęcia przez nasz Obwód czołowego miejsca w Okręgu tarnopolskim.

Porucznik Zygfryd Szynalski urodził się w Niemczech. Do gimnazjum uczęszczał już w Brzeżanach. Dobrze zbudowany, wesoły i zawsze uśmiechnięty, zajmował w szkole czołowe miejsce w sporcie. Po ukończeniu gimnazjum został powołany do Szkoły Podchorążych przy 12 DP w Tarnopolu, w której wyróżnił się i został wybrany do Zawodowej Szkoły Podchorążych, którą ukończył w 1939r. i jako podporucznik wziął udział z 51 pp. w wojnie obronnej. Podczas walk został ranny w nogę. W marcu 1943r. przyjechał do Brzeżan. Tu został wciągnięty do konspiracji na stanowisko z-cy komendanta Obwodu AK. Dalsze jego poczynania opisałem w dotyczących go rozdziałach.

Podporucznik Władysław Motylewicz, syn robotnika kolejowego z Łuciska, również uczęszczał do gimnazjum w Brzeżanach, gdzie wyróżnił się jako uczeń i jako drużynowy w harcerstwie. Po ukończeniu gimnazjum został powołany do Szkoły Podchorążych przy 11 korp.DP w Stanisławowie

IV. Z czwartej kompanii kryptonim "Rola" z Taurowa:

Ósmy patrol

/Taurów/

- Kol. Czuba Józef
- + 4-ch żołnierzy, których również
sobie nie przypominam.

Dziewiąty patrol

/Budyłów/

- Kol. Wojtuś Józef
+ 4-ch żołnierzy, których nazwiska
również zapomniałem

V. Z samodzielnego plutonu kryptonim "Źródło" z Narajowa:

Dziesiąty patrol

- Kol. Jaska Antoni
+ 4-ch żołnierzy, których nazwisk
z przykrością również sobie nie przypo-
minam, za co serdecznie wszystkich
przepraszam.

Przykro mi, że pamięć zaczyna zawodzić i dokumenty również nie są kompletne, ale to w końcu parę lat minęło od tamtych dni i nie mogę odtworzyć pełnych składów "piątek dywersyjnych". Zapewniam, że miałem jak najlepsze chęci i myślę że tak to będzie ocenione. Jeszcze raz serdecznie przepraszam tych, których pominąłem, bo przecież jak wszyscy wymienieni i oni zasłużyli sobie na naszą pamięć. Wszystkim innym też jeszcze raz serdecznie dziękuję za wszystko co zrobili dla naszej polskiej sprawy.

Jednocześnie dziękuję także tym, którzy udostępniając swe domy i udzielając pomocy naszym żołnierzom, sami stawali się żołnierzami walczącymi z okupantem i narażali się na niebezpieczeństwo utraty życia swojego i swoich najbliższych, na równi z nimi.

Szczerze Wam wdzięczny i oddany
były komendant Obwodu Brzeżany

Jan C i s e k





Fragment dzielnicy
Balarda i niewielki
skrawek stawu na
tylnym planie.



Miasto moich wspomnień i mojej młodości.

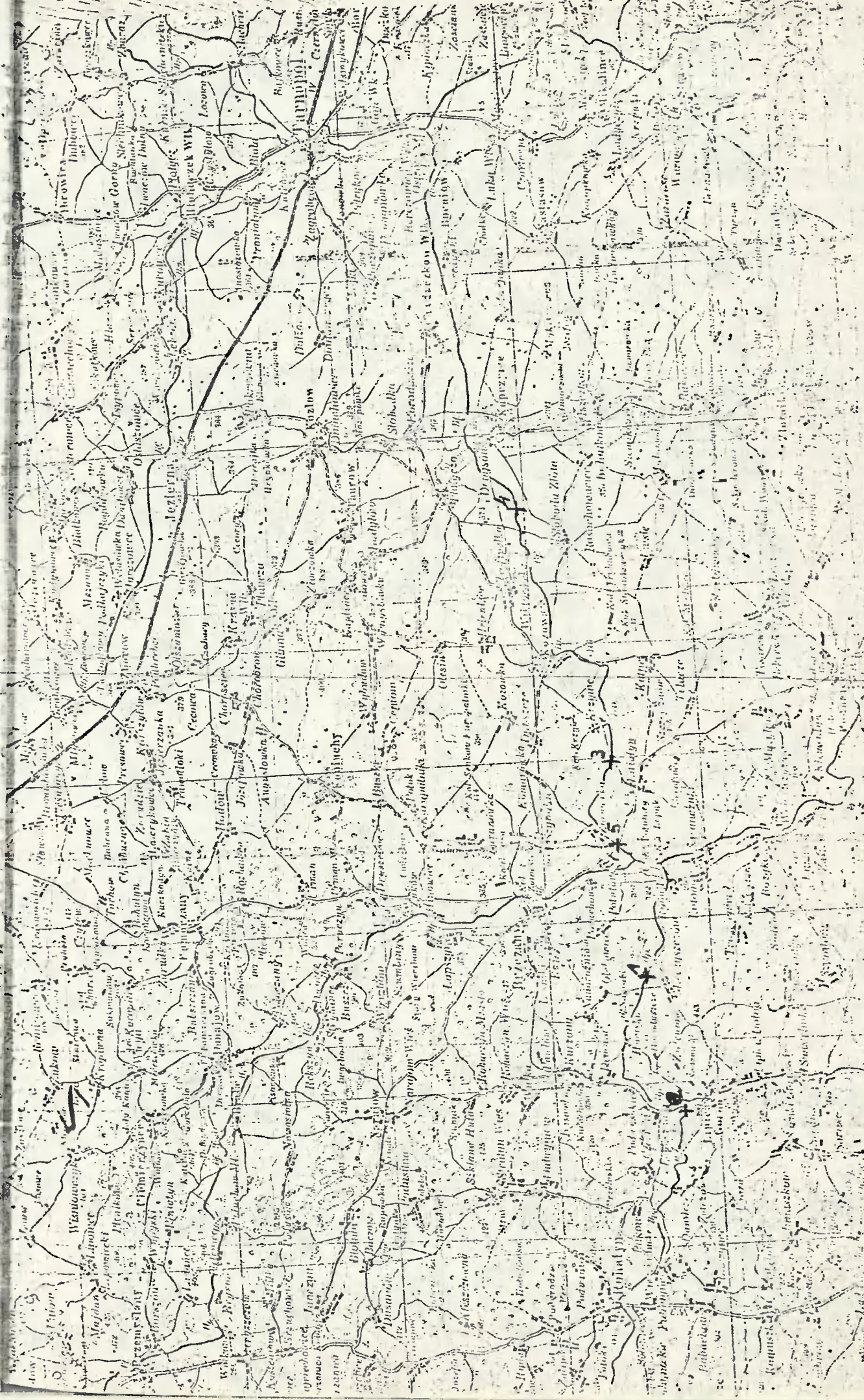


Centrum miasta. Na zdjęciu kościół obrządku ormiańskiego w otoczeniu gmachów głównych urzędów miasta i powiatu: sądu, starostwa i Komunalnej Kasy Oszczędności. Na tylnym planie góra Storóżysko, u podnóża której fragment dzielnicy Gachy i klasztor OO. Bernardynów.



Centrum miasta. Na zdjęciu część zachodnia rynku z fragmentem ratusza po prawej i cerkwią po lewej stronie. Na tylnym planie staw, górujący nad miastem i klasztor OO. Bernardynów.

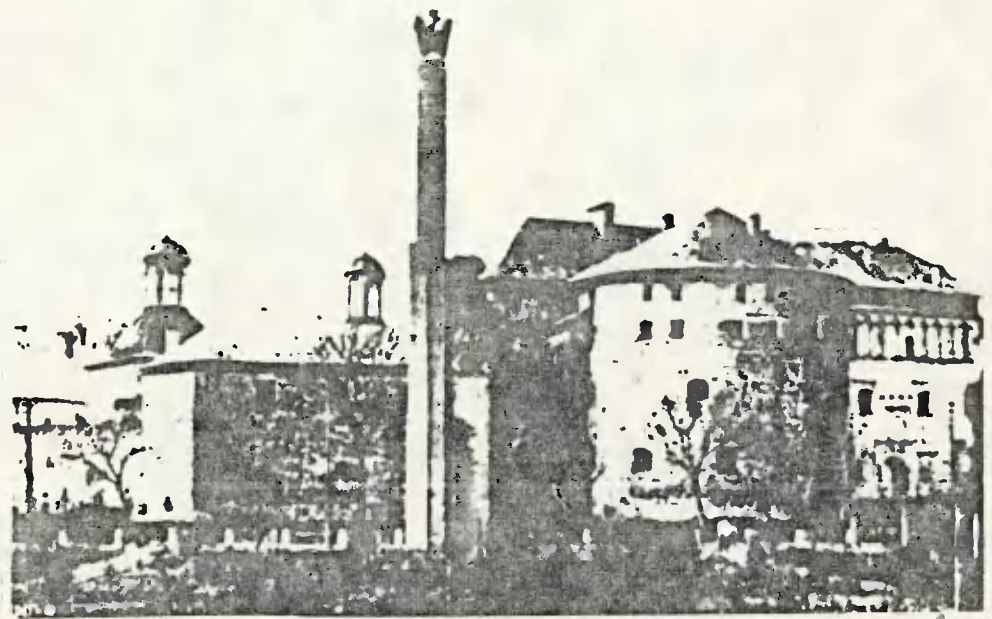
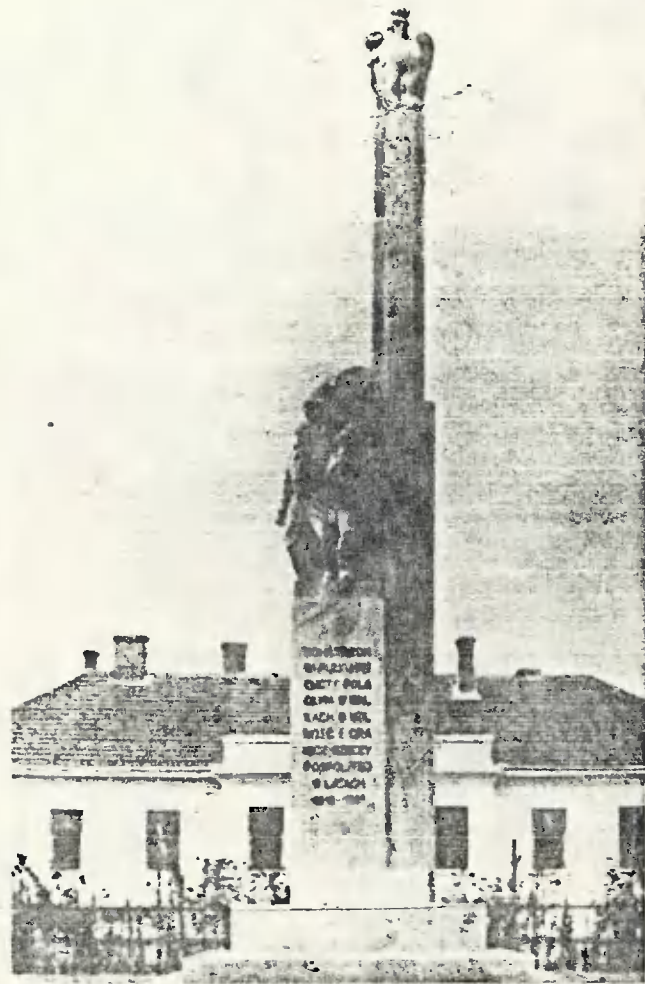
Zdjęcia wykonano z wieży kościoła farnego.



+ Miernoc nr kolejny akcji na linii kolejowej

II/536

© ARCHIWUM WSCHODNIE



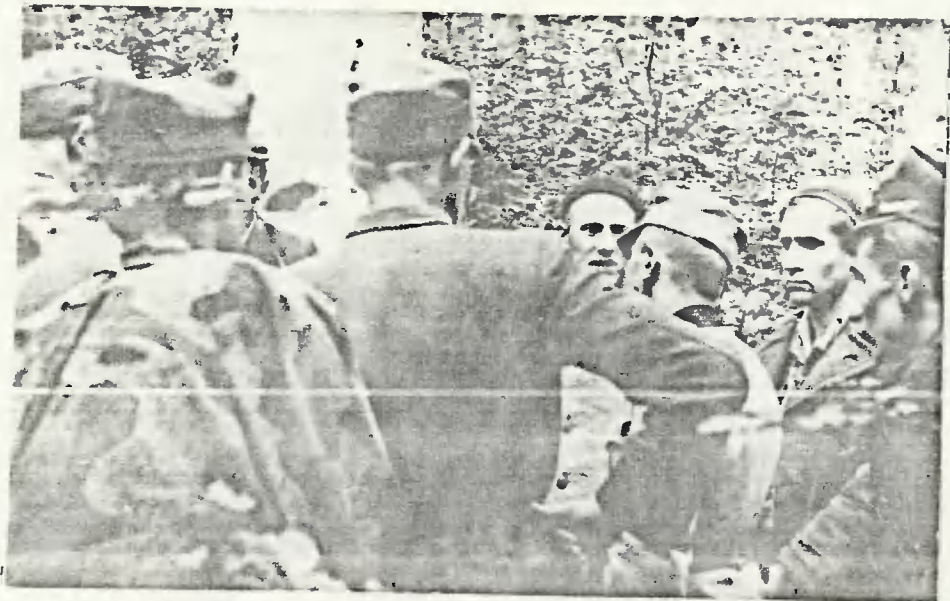
Pomnik poległych 51 Pułku Piechoty na tle zamku
książąt Sieniawskich.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

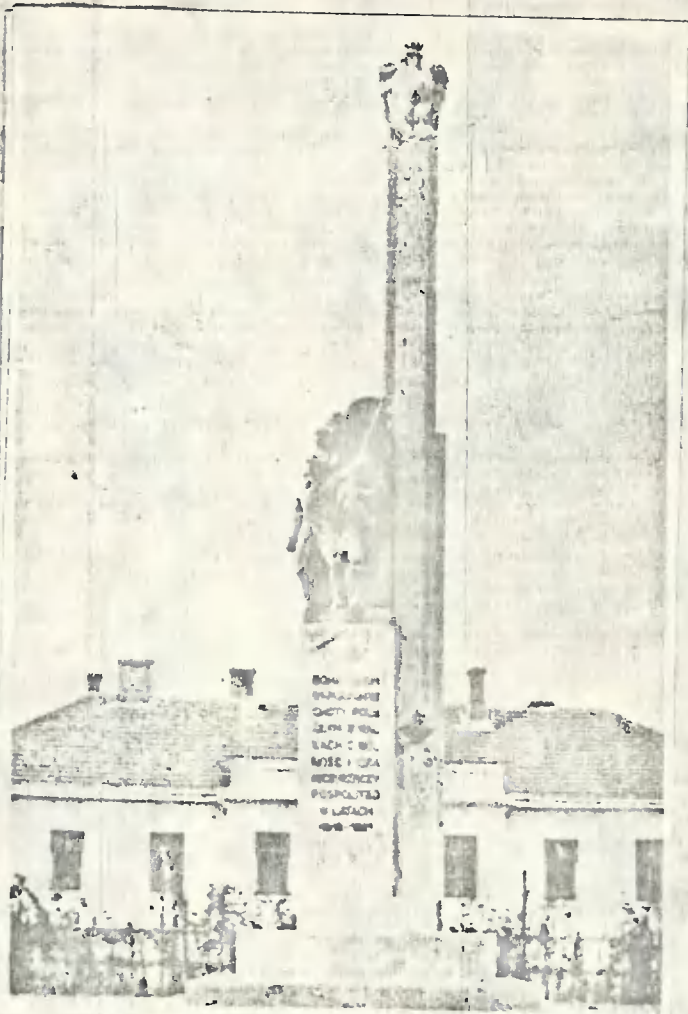
Zdjęcia pamiątkowe z akcji "Burza"



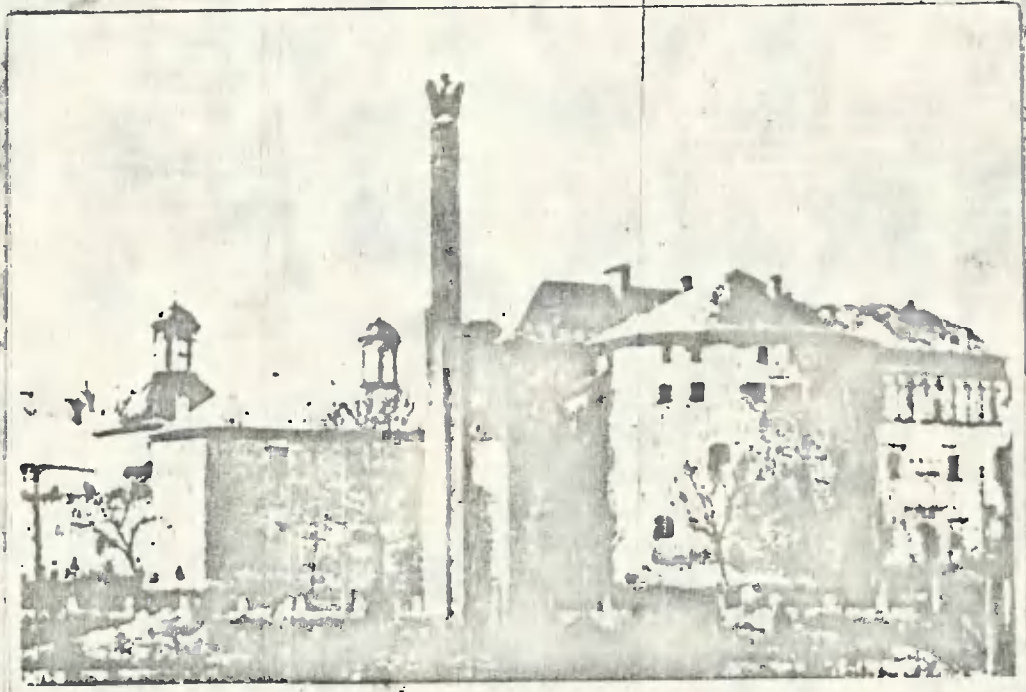
Patrol sanitarny I kompanii kryptonim "Staw"



W lesie. Odpoczynek i krótka odprawa.



ant. Wyższej
51. i. Sieniawki
w. Sieniawki
w. Sieniawki.



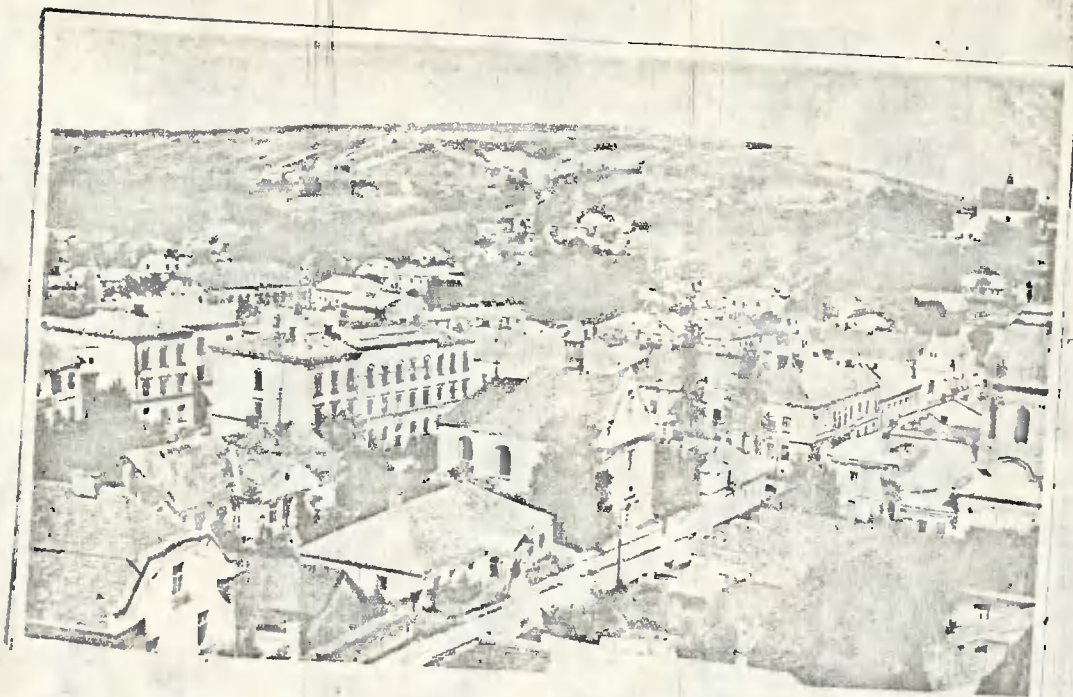
Pomnik poległych 51 Pułku Piechoty na tle zamku
książąt Sieniawskich



Fragment dzielnicy
Balarda i niewielki
skrawek stawu na
tylnym planie.



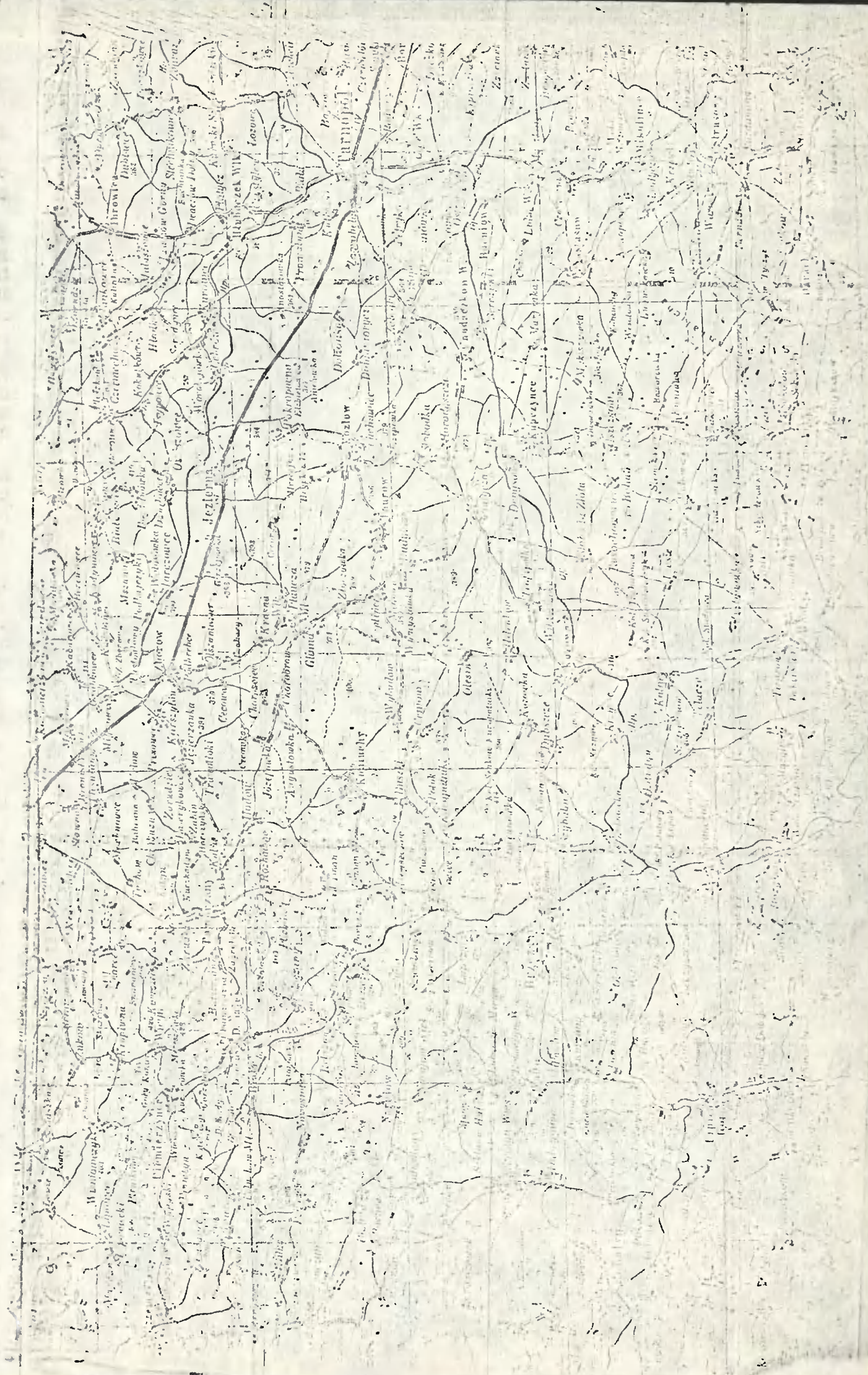
Miasto moich wspomnień i mojej młodości.



Centrum miasta. Na zdjęciu kościół obrządku ormiańskiego w otoczeniu gmachów głównych urzędów miasta i powiatu: sądu, starostwa i Komunalnej Kasy Oszczędności. Na tylnym planie góra Storożyisko, u podnóża której fragment dzielnicy Gachy i klasztor OO. Bernardynów.



Centrum miasta. Na zdjęciu część zachodnia rynku z fragmentem ratusza po prawej i cerkwią po lewej stronie. Na tylnym planie staw, górujący nad miastem i klasztor OO. Bernardynów. Zdjęcia wykonane z wieży kościoła farnego.



134

135

136

137

138

139

140

141

142

143

144

145

146

147

148

149

150

151

152

153

154

155

Zdjęcia pamiątkowe z akcji "Burza".



patrol sanitarny 1 kompanii kryptonim "Staw".

- 1 Dymowski
- 2 Mizek
- 3 Wiktorczyk
- 4 Jędr

- 1 Chojnowska
- 2 Tysiecki

- 1 Ziolkowska
- 2 Buzan
- 3 Płazyszyński
- 4 Macholczyk
- 5 Hosiński
- 6 Borek
- 7 Chojnowska
- 8 Tysiecki



W lesie. odpoczynek i krótka odprawa.

①

1 Stokis Stanislas

2 Miszek

3 Likolowicz

4 Kopeć

5 Marunkiewicz Tadeusz, 6 Synowski Karol.

②

Oco diegony

1 Fuderman Ryszard

2 Synowski Karol

③

Loty



1. Pierwszy Komendant brzeżańskiego Obwodu Armii Krajowej kapitan Bolesław Tomaszewski ps. "Bat", późniejszy Szef Oddz. III Obszaru Lwowskiego AK ps. "Warta", "Ostroga",
2. Komendantka WSK Obwodu AK - Halina Siwkowska ps. "Ina",
3. Drugi Komendant brzeżańskiego Obwodu Armii Krajowej ppor. Jan Cisek ps. "Mak", "Kres". /Autor niniejszych wspomnień/



1. Zastępca komendanta Obwodu AK i Komendant Kedywu por. Zygfryd Szynalski pseudonim "Tryk",
 Łączniczka komendanta Obwodu AK - Maria Cisek ps. "Ania",
 Dowódca 2 kompanii ppor. Władysław Motylewicz ps. "Topola",



- Adiutant komendanta Obwodu AK. st. sierż. Karol Całka ps. "Rosa",
 • Kurierka Obwodu do Obszaru AK - Wiktoria Kowalczyk ps. "Hadiuga",
 • Oficer-saper. st. sierż. Józef Niedziałek ps. "Kosa".